

W numerze:

Świat bez Rosji. Marzenie, o które warto walczyć Bartłomiej Radziejewski	3
Rozpad Rosji nie leży obecnie w interesie Polski Marek Budzisz	9
Waszyngton zdecyduje o zakończeniu wojny. Strategia <i>offshore balancing</i> a Rosja i Ukraina Piotr Michał Kosmęda	15
Ku likwidacji rosyjskiego mocarstwa. Czy spełni się marzenie realisty Radziejewskiego? Robert Kuraszkiewicz	21
Konsensus pekiński zamiast waszyngtońskiego. Szybki, sprawny i niebezpieczny Joshua Kurlantzick	26
Opowieść o dwóch potworach i czterech żywiołach. Różne oblicza Carla Schmitta a obecny kryzys globalny John Milbank	29
Juan nie rządzi światem. Przynajmniej na razie Z Centrum Świata, marzec 2023 dr Krzysztof M. Zalewski	49
Ameryka zmienia politykę wobec wojny na Ukrainie. Polska powinna porzucić złudzenia Robert Kuraszkiewicz	55
136 lat więzienia dla Trumpa? Finlandia w NATO Niezbędnik Zagraniczny NK 01-07.04.2023 Tomasz Gajewski	64
Walkirie w garsonkach. Feministyczna polityka zagraniczna w RFN Wojciech Stanisławski	74
Pożegnanie z geniuszem, czyli Bartosiak i jego zachwyceni znajomi Robert Kuraszkiewicz	83
Od ataku na WTC do wojny w Ukrainie. Budzisz, Radziejewski i Góralczyk o praprzyczynach rosyjskiej inwazji Bartłomiej Radziejewski, Marek Budzisz, Bogdan Góralczyk	86



**Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

Świat bez Rosji. Marzenie, o które warto walczyć



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Jeśli nie zaraz, to za lat kilka czy kilkanaście rozpad Rosji może być ponownie w grze. Powinniśmy być wówczas gotowi

Główny nurt zachodnich elit mocarstwowych wzdraga się na samą myśl o świecie bez Rosji. Dobrze oddał to tytan amerykańskiej dyplomacji i analizy Henry Kissinger na zeszłorocznym forum w Davos. Uzasadniając wówczas swoją tezę o tym, że tak Ukraina, jak i Zachód powinny się wykazać mądrością i przyznać Rosji część zajętych terytoriów, a jednocześnie nie doprowadzać do miażdżącej klęski Kremla, jeden z architektów pokonania Sowietów podnosił, iż Moskwa jest istotnym czynnikiem europejskiej równowagi od 400 lat i nie należy tracić z oczu płynących z tego tytułu korzyści. Jak również, dodawał, nie powinniśmy wpychać euroazjatyckiego kolosa w ramiona Chin. Z nowszych przykładów, znani i poważani analitycy amerykańscy Lise Howard i Michael O’Hanlon, szukając niedawno na łamach „Foreign Affairs” sposobów na urządzenie powojennego porządku, wyraźnie przestrzegają przed zbyt wielkim zwycięstwem. Przed zadaniem Rosji druzgocącej klęski, mogącej ją zdestabilizować lub, upokorzywszy, pogrążyć w żądzy zemsty. O ile zeszłoroczne dictum Kissingera, wypo-

wiedziane w szczycie antyrosyjskich emocji na Zachodzie, można było zaliczyć do gatunku tych, o których wielu myśli, ale boi się powiedzieć, o tyle obecne argumenty Howard i O’Hanlona są już powtarzane bardzo szeroko i bez wielkich kontrowersji. Świadomie ograniczam się tu do przykładów amerykańskich: elity zachodnioeuropejskie są pod tym względem jeszcze o wiele wobec Kremla łagodniejsze.

Mówiąc krótko: kwiat transatlantycznych decydentów i analityków nie wyobraża sobie wciąż – lub nie chce sobie wyobrazić – świata bez Rosji. Nie jest to przy tym jakaś prosta dysfunkcja imaginarium, ale rzecz głęboko ugruntowana w interesach geostrategicznych (do czego wrócimy później). I jako taka jest pewnym faktem politycznym, z którym należy się liczyć. Nie znaczy to jednak, że trzeba się z nim godzić. Wręcz przeciwnie.

Rosja nie jest czymś oczywistym

Świat bez Rosji jest bowiem nie tylko możliwy, ale i – przynajmniej z punktu widzenia polskich interesów – wielce po-

żądany. I choć w myśleniu politycznym (w szczególności dotyczącym dyplomacji i bezpieczeństwa) należy przede wszystkim zadbać o przygotowanie na czarne scenariusze, to porównywalnie wielkim błędem jak zignorowanie tego imperatywu, jest ograniczenie się tylko do niego. Zmarowane szanse mogą mieć bowiem podobny ciężar gatunkowy co przeoczone zagrożenia. O ile więc podstawą naszej refleksji geostrategicznej powinno być założenie o Rosji nieustająco silnej i groźnej, o tyle właściwym rozwinięciem polskiego myślenia politycznego winniśmy uczynić także warianty odmienne. W tym imperium moskiewskiego słabego, a nawet – zdezintegrowanego.

Jeszcze ćwierć wieku temu ukłon w stronę takiego wariantu uczynił inny tytan amerykańskiej dyplomacji i analityki, Zbigniew Brzeziński. W swojej „Wielkiej szachownicy” rozważał on przecież podział euroazjatyckiego imperium na 3 luźno skonfederowane państwa: Rosję Europejską, Republikę Syberyjską i Republikę Dalekowschodnią. Argumentując, że takie rozwiązanie nie tylko dobrze zabezpieczyłoby interesy USA, ale też sprzyjało rosyjskiej wymianie gospodarczej z Europą, Azją Centralną i Azją Wschodnią, służąc tym samym lepiej także samym Rosjanom.

Przede wszystkim jednak warto pamiętać, że nie tylko przez zdecydowaną większość historii politycznej ludzkości Rosji nie było (i jakoś się żyło), ale że jest ona w stosunkach międzynarodowych bytem względnie nowym i nieoczywistym. Mamy skłonność do postrzegania przeszłości przez pryzmat teraźniejszości. Jednak prawda jest taka, że zanim w 1547 r. Iwan IV Groźny ogłosił się „carem Wszechrusi”, na terenach jego imperium funkcjonowało przez stulecia wiele różnych

państw. Ruś była bardzo długo polityczną wielością, w której hegemoniczna później Moskwa odgrywała przez całe wieki marginalną lub wielce ograniczoną rolę. Na tej wielości – obejmującej zresztą również takie względnie wolnościowe eksperymenty geopolityczne jak republiki nowogrodzka czy pskowska – wykarmiła się zresztą spektakularna ekspansja Wielkiego Księstwa Litewskiego w XIII-XIV w. A następnie – potęga Rzeczypospolitej. Wschodnie ziemie imperium polsko-litewskiego to była, jak pisał Paweł Jasienica, „szczerza Ruś prawosławna”. W związku z tym intronizacja „cara Wszechrusi” z połowy XVI w. była spektakularnym przełomem i oczywistym wielkim wyzwaniem rzuconym Rzeczypospolitej. Oznaczała bowiem pretensje Moskwy do ogromnych połaci państwa polsko-litewskiego.

Kissinger: Moskwa jest istotnym czynnikiem europejskiej równowagi od 400 lat i nie należy tracić z oczu płynących z tego tytułu korzyści

Wciąż jednak nie była niczym oczywistym ani trwałym. Wręcz przeciwnie: była próbą przełomu, który wkrótce gwałtownie się załamał. Po śmierci Iwana Groźnego (poprzedzonej iście epickim wyrzynaniem przez samodzierżawcę wszystkich głównych grup społecznych, a następnie zabójstwem jedyne go spadkobiercy) doszło do głębokiego kryzysu nie tylko nowego państwa, ale całego systemu społecznego. Do okresu zwanego wielką smutą. Otworzyło to drogę do dy-

mitriad i – co bez porównania ważniejsze, a zbyt słabo nad Wisłą pamiętane – przedsięwzięcia unii polsko-litewsko-moskiewskiej. Która przez krótki czas funkcjonowała (z królewiczem Władysławem Wazą jako carem) i była w sensie geopolitycznym dokładnym przeciwieństwem prób tworzenia państwa rosyjskiego. To dopiero klęska tego przedsięwzięcia, z wygnaniem Polaków z Kremla w 1612 r. (dziś celebrowanym rokrocznie jako główne święto państwowe), otworzyła ostatecznie możliwość powstania Rosji. Można długo spekulować, w jakim stopniu tamta unia miała szanse trwalszego powodzenia.

Nie tylko przez zdecydowaną większość historii politycznej ludzkości Rosji nie było (i jakoś się żyło), ale że jest ona w stosunkach międzynarodowych bytem względnie nowym i nieoczywistym

Rzecz jednak w tym, że jest po prostu faktem historycznym, że spektakularne zarzucenie podstawowych założeń tego przedsięwzięcia (w tym tolerancji religijnej) przez Zygmunta III Wazę w trakcie jego realizacji doprowadziło do buntu Moskali i wygnania Polaków z Kremla. A następnie – powstania nowoczesnej Rosji, o tożsamości zaciekle antypolskiej. Na gruncie tzw. historii alternatywnej można sobie spokojnie wyobrazić, że to w oparciu o Warszawę, a nie li tylko Moskwę, mogło się dokonywać dalsze czę-

ściowe lub całkowite jednoczenie Rusi. Jak również brak takiej unifikacji. Unacznia to nieoczywistość istnienia państwa rosyjskiego.

Nowa wielka smuta

Wróćmy teraz do przyszłości. To co było, może się powtórzyć, choć oczywiście nie w stosunku 1:1. Rosja jest, mimo setek lat ludobójczej polityki, wciąż zlepkiem ponad 100 narodów i grup etnicznych rozpostartych na gargantuicznym, największym na świecie terytorium państwowym. Trzymanych pod hegemonią Moskwy żelazną ręką, a niekiedy – brutalnym terrorem. Z jednej strony historia Rosji, pełna trupów nie tylko ludzi, ale całych ludów, doprowadziła do punktu, gdzie państwo to nie może się już tak łatwo rozpaść jak w przeszłości, ponieważ substancje narodowe i etniczne mogące być zarzewiem takiego procesu zostały w wielkim stopniu wyniszczone lub rozcieńczone. Z drugiej jednak strony, całkiem niedawna, niezwykle brutalna pacyfikacja małej Czechenii udowodniła, jak bardzo Kreml lęka się potencjalnej zaraźliwości wszelkiego separatyzmu. A wciąż żywe tradycje lokalne, spadający udział etnicznych Rosjan w ogóle populacji, coraz większe zacofanie i nieatrakcyjność jej modelu państwowego i gospodarczego – czyni potencjalne tendencje odśrodkowe interesującym zagadnieniem przyszłości.

Zwłaszcza, że perspektywy moskiewskiego imperium zasadniczo rysują się fatalnie. Globalna tendencja odchodzenia od paliw kopalnych bardzo wyraźnie naznacza tę dekadę jako ostatnią, w której węglowodory będą rosły na znaczeniu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wkrótce zaczną się ich szybki spadek i wypieranie, które przekształci Rosję

w skansen paliw kopalnych, pozbawiony dużej części wpływów budżetowych i niemający środków na ich efektywne zastąpienie. I nawet jeśli proces ten się opóźni, jawi się jako nieuchronny. Rosyjskie elity o tym wiedzą, i także dlatego, jak się wydaje, podjęły decyzję o inwazji na Ukrainę w lutym ub.r., próbując spektakularnego odwrócenia tendencji i narzucenia Zachodowi poprzez presję wojskową nowej architektury bezpieczeństwa – i nowych *terms of trade*. Kreml wciąż może pokonać Ukrainę, ale szanse na większą przebudowę systemu międzynarodowego, na którą liczył, zmalały radykalnie, jeśli nie zostały zupełnie pogrzebane. Tak więc perspektywa wielkiego, węglowodorowego skansenu, coraz bardziej zacofanego, wydłużającego się (przy jednoczesnym malejącym udziale etnicznych Rosjan w ogólnej populacji), podlegającego rosnącej presji geopolitycznej z każdej strony – klaruje się. Nowa wielka smuta majaczy już na horyzoncie. A wraz z nią – perspektywa kolejnej implozji.

Wojna ukraińska reaktywowała ten wariant. Od dłuższego już czasu zwracam uwagę na to, że z perspektywy Kremla ten konflikt to nie tylko wspomniana swista ucieczka do przodu i próba zatrzymania kursu Kijowa ku światowi tranatlantyckiemu, ale też – walka o przetrwanie. Jeśliby bowiem Ukraina dalej modernizowała się skutecznie, integrując jednocześnie z Zachodem, jej przykład mógłby wysoce prawdopodobnie stać się zaraźliwy. Nie tylko dla krajów południowego Kaukazu czy (kluczowej z perspektywy Kremla) Białorusi, ale także dla samego społeczeństwa rosyjskiego. Zagrożając tym samym wprost moskiewskiemu przedsięwzięciu imperialnemu, jak i państwowemu. Podobnie sądzą kremlowscy stratedzy, co omawiał ostatnio wnikliwie Marek Budzisz

w pracy „Samotność strategiczna Polski”. Możliwość takiego rozwoju wypadków dostrzegają także co bardziej wnikliwi eksperci amerykańscy. Przeważnie, jak mówiliśmy, chcąc go uniknąć. Na to samo wskazuje waszyngtońska polityka dawania Ukrainie pomocy tak, by mogła dalej walczyć, ale nie – by mogła rozgromić Rosję. Wariant implozji jest wszakże w grze i stąd także owe refleksje i działania.

**Rosja jest, mimo setek lat
ludobójczej polityki, wciąż
zlepkiem ponad 100
narodów i grup etnicznych
rozpostartych na
gargantuicznym,
największym na świecie
terytorium państwowym**

Zachodzi tu zasadnicza różnica interesów między Polską a dalszym Zachodem. Dla nas rozpad Rosji byłby fantastyczną wiadomością, mogącą otwierać nawet perspektywy nowych czasów jagiellońskich. Dla Amerykanów to, oprócz wielkiej niewiadomej i zniknięcia ważnego czynnika euroazjatyckiej równowagi, ryzyko wielkiego wzmocnienia głównego rywala, jakim są Chiny. Któż bowiem byłby w stanie najszybciej spenetrować ewentualny post-rosyjski Daleki Wschód, radykalnie zwiększając swoje zdolności projekcji siły przeciwko Ameryce via Arktyka i uzyskując dostęp do nieprzebranych bogactw naturalnych tych ziem? Chiny, oczywiście. Tak więc Waszyngton, dopóki nie dąży do geostrategicznego samobójstwa, rozpadu

Rosji nie wesprze. Od czasu wspomnianej koncepcji rozczłonkowania tej ostatniej autorstwa Zbigniewa Brzezińskiego (która i wtedy nie zyskała aprobaty Waszyngtonu) wiele wody upłynęło bowiem w Missisipi, a sytuacja międzynarodowa zmieniła się jeszcze bardziej. Dziś Stany są już relatywnie zbyt słabe, a Chiny o wiele za silne, by taki wariant miał dla USA sens. Przeciwnie, stał się dla nich, zamiast szansy – zagrożeniem. Inna rzecz, że można postrzegać jako wielkie historyczne zaniechanie Ameryki, że nie doprowadziła do niego, gdy był na to właściwy czas.

Waszyngton, dopóki nie dąży do geostrategicznego samobójstwa, rozpadu Rosji nie wesprze

Paradoksalnie, w Europie Zachodniej opór powinien być pod tym względem dużo mniejszy. Chiny nie są bowiem dla niej porównywalnym zagrożeniem co dla Stanów. A więc ich ewentualne wzmocnienie Rosji rozpadem – również nie. Na przeszkodzie stoją jednak o wiele silniejsze, ze względów geograficznych i historycznych, związki gospodarcze. Oraz – podobnie jak za Atlantykiem – silnie ugruntowane myślenie o Rosji jako o ważnym czynniku euroazjatyckiej równowagi. To, być może lepiej niż cokolwiek innego, oddaje piękny esej Halforda Mackindera „Geograficzna oś historii”. Klasyk geopolityki argumentował w nim, że to w istocie powtarzające się najazdy koczowniczych ludów z Wielkiego Stepu, ciągnącego się od Ukrainy po Mongolię, stworzyły toż-

samość europejską, a potem zachodnią. To bowiem właśnie poprzez konfrontacje z przerażającymi Hunami czy Wandalami, mieszkańcy Starego Kontynentu zaczęli odczuwać, że są pewną kulturą, a nie tylko geograficzną, całością. Później byli jeszcze Mongołowie czy Turcy seldżuccy. Wielki Step przez wiele stuleci budził niepokój i grozę – aż Rosja go ustabilizowała. Dziś oczywiście nikt nie martwi się perspektywą najazdów koczowników na koniach. Ale wariantem powstania kilku-kilkudziesięciu nowych państw o nieznanym obliczu, w znacznym być może stopniu z dostępem do broni jądrowej – już tak.

Przygotować się na rozpad Rosji

Dla Polski jednak – podobnie jak dla państw bałtyckich i Ukrainy, a w dalszej kolejności Rumunii i krajów skandynawskich – ryzyko z tym związane jest niczym wobec liczby problemów, które taki wariant rozwiązuje. Na czele z likwidacją lub radykalnym zmniejszeniem zagrożenia ze wschodu, usunięciem fatalnej dla nas, co raz powracającej, tendencji do porozumień niemiecko-rosyjskich i zachodnio-rosyjskich, możliwością odzyskania lub neutralizacji Królewca. Fantastyczne perspektywy implozja Rosji otwierałaby też dla Białorusi, dziś podporządkowanej przez przygniatającą większą potęgę Kremla. Otwierając tym samym zupełnie nowe perspektywy polskiej i regionalnej aktywności nad Niemnem.

Tak więc świat bez Rosji jest zdecydowanie marzeniem, o które warto walczyć. Dziś dalekie, nie jest jednak zupełnie nierealne. Łącznie z tym, że, jak mówiliśmy, mogłaby do niego doprowadzić ewentualna generalna klęska Rosji w wojnie ukraińskiej. Ale i bez tego, dość mało

prawdopodobnego wariantu – wschodnie imperium czekają, jak wszystko na to wskazuje, ciężkie czasy. Jeśli więc nie zaraz, to za lat kilka czy kilkanaście rozpad Rosji może być ponownie w grze.

Dziś Polska jest za słaba, by przeważać szalę i – zwłaszcza wbrew USA i Europie Zachodniej – samodzielnie lub wraz z regionalnymi sojusznikami doprowadzić do generalnej klęski Moskwy w obecnej wojnie. Niekoniecznie musiało tak być, co samo w sobie odsyła nas to po raz kolejny do fundamentalnego problemu miernego wykorzystania ostatnich 34 lat w kategoriach budowania potęgi narodowej i regionalnej. Grunt to jednak uczyć się na błędach i nie zmarnować kolejnych lat. Tak, byśmy przy następnym przesileniu na wchodzie – byli już gotowi.

Polska racja stanu w tym względzie obejmuje więc w mojej ocenie kilka kluczowych elementów. Po pierwsze, budowanie potęgi własnej w każdym jej wymiarze. Nie tylko wojskowym, ale też ogólnopaństwowym, gospodarczym, de-

mograficznym, pod względem konektywności, potencjału intelektualnego itd. Po drugie, na zaawansowanej refleksji strategicznej tego dotyczącej. A więc zejściu z poziomu anegdoty i romantycznych marzeń na poziom intelektualnego i politycznego planowania. Po trzecie, na budowaniu konkretnych zdolności oddziaływania na terenie Rosji. Tak, by w razie pojawienia się tendencji separatystycznych, potrafić dolać oliwy do ognia. Po czwarte, na zjednywaniu dla tej idei elit państw sojusznicznych. Ze względów wyżej omówionych powinien ten wysiłek być w pierwszym rządzie skierowany na region Europy Środkowo-Wschodniej i Skandynawię. Dalej: na Europę Zachodnią, potem na Azję Centralną i Kaukaz. W czwartym dopiero rządzie na Amerykę.

Żyjemy w czasach wielkich zmian. Jedną z nich może być powrót kwestii rozpadu Rosji jeszcze za życia mojego pokolenia. Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by, jeśli ta szansa nadejdzie, nie być tym razem tylko widzami.

Rozpad Rosji nie leży obecnie w interesie Polski



MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.

W naszym interesie leży zarówno zakończenie wojny na Ukrainie (najlepiej – zwycięstwo Kijowa), jak i utrzymanie się u władzy reżimu Putina w Rosji. Wówczas wschód Europy będzie musiał zostać umocniony, a Rosja stanie się z czasem krajem biednym, autorytarnym i izolowanym

Bartłomiej Radziejewski słusznie podnosi kwestię zasadniczą dla polskiej myśli geostrategicznej. Pyta mianowicie, jaki winien być stosunek Warszawy do perspektywy dezintegracji Rosji. Radziejewski aprobatywnie odnosi się do koncepcji sformułowanej przed laty przez Zbigniewa Brzezińskiego, który pisał, że podział Federacji Rosyjskiej na trzy niezależne państwa – część europejską, syberyjską i dalekowschodnią – wpłynąłby korzystnie zarówno na szanse rozwojowe obszarów graniczących z tymi nowymi państwami, powstałymi na gruzach Rosji, jak i na bezpieczeństwo. Nie zgadzam się z tym poglądem, uważam, że jest akurat odwrotnie, choć oczywiście oczyma wyobraźni widzę kontury idealnego świata, w którym nie ma miejsca dla Putina i myślicy według podobnego wzorca rosyjskich elit. Problem wszakże nie sprowadza się do siły naszej imaginacji, ale do koncentrowania się na procesie politycznym, a zatem na świadomym działaniu, które winno do pożądanego rezultatu, w tym

wypadku „świata bez Rosji” doprowadzić. A tu sprawy nie mają się już tak prosto.

Zachód rozważa rozpad Rosji

Matthew Karnitschnig, amerykański dziennikarz pracujący w portalu POLITICO, zadeklarowany zwolennik silnych więzi atlantyckich i krytyk niemieckiej opieszałości w zakresie zwiększania wydatków na bezpieczeństwo, zareagował niedawno na słowa Karela Schwarzenberga, byłego czeskiego ministra spraw zagranicznych. Schwarzenberg w wywiadzie powiedział, że już niedługo część podmiotów wchodzących w skład Federacji Rosyjskiej może chcieć się „wybić na niepodległość”, uzyskując niezależność od Moskwy. Karnitschnig stwierdził, że czeski arystokrata i polityk „winien być bardzo ostrożny, formułując życzenia” tego rodzaju. W opinii Amerykanina więcej jest negatywów niż pozytywów w scenariuszu dezintegracji Federacji Rosyjskiej. Ta korespondencyjna polemika ujawnia, iż na

Zachodzie już od pewnego czasu trwają debaty na temat przyszłości Rosji po przegranej wojnie z Ukrainą. Scenariusz jej dezintegracji jest dyskutowany, zarówno w wydaniu intencjonalnym, jako wynik celowej polityki Zachodu, jak i jako rezultat procesów o charakterze naturalnym, które już zachodzą i mogą ulec wzmocnieniu wraz z wojskową porażką.

**Realne podziały nie
przebiegają zaś według linii
„centrum w Moskwie kontra
buntujące się regiony”, ale
w zupełnie innych
wymiarach**

Luke Coffey z Hudson Institute opublikował nawet w grudniu ubiegłego roku specjalny raport, w którym wzywa Zachód, przede wszystkim Stany Zjednoczone, aby był przygotowany na nieuchronny, w jego opinii, scenariusz fragmentacji Rosji, jej podziału i rozpadu w efekcie przegranej wojny. Jak zauważył, wyzwania, które wówczas się ujawnią, nie będą mniejsze niż te związane z obecnie trwającym konfliktem, a kwestia „umocnienia bezpieczeństwa obszarów peryferyjnych” na wschodzie Europy stanie się paląca. Inni autorzy argumentują, że dezintegracja Federacji Rosyjskiej jest nieuchronną, końcową fazą upadku Imperium, a dezimperializacja Rosji jest warunkiem osiągnięcia stabilnego pokoju w tej części Europy. Pojawiają się też w debacie publicznej na Zachodzie w odniesieniu do Rosji popularne w ostatnich latach wątki dekolonizacyjne.

Sprawa warta jest rozważenia w Polsce, również z tego powodu, że oznacza potrzebę przedyskutowania kwestii zasadniczej, a w naszej debacie publicznej w gruncie rzeczy nieobecnej. Chodzi o wizję polityki Polski wobec Rosji przyszłości, o poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: jakie scenariusze leżą w naszym interesie, a jakie – wręcz przeciwnie – mogą nam szkodzić. W miejsce debaty i refleksji mamy według mnie do czynienia z podejściem w gruncie rzeczy magicznym, w którym rozpad Rosji utożsamiany jest ze zniknięciem problemu, jakim jest obecna polityka Moskwy. Jednak nie dostrzega się innej kwestii, a mianowicie, czy w efekcie rozpadu Federacji Rosyjskiej nie staniemy w obliczu problemów znacznie poważniejszych, niż dzisiejsza wojna?

Co z potencjałem jądrowym?

W amerykańskiej debacie strategicznej scenariusz rozpadu Rosji postrzegany jest, przez większość autorów, w kategoriach bardzo groźnego wariantu rozwoju wydarzeń, któremu w ramach racjonalnej polityki prowadzonej przez Zachód należy przeciwdziałać. Najczęściej w tym kontekście podnoszone są dwie kwestie. Po pierwsze – zagrożenia, jakie niesie za sobą destabilizacja w państwie dysponującym jednym z największych na świecie potencjałów jądrowych. Po drugie – formułowane są argumenty o charakterze strategicznym, a mianowicie jak destabilizacja wewnętrzna w Rosji wpłynie na globalny rachunek sił.

Marlène Laruelle zauważyła, że „opowiadanie się za upadkiem Rosji jest błędną strategią, opartą na braku wiedzy o tym, co łączy rosyjskie społeczeństwo w całej jego różnorodności. Co ważniejsze, taka strategia nie bierze również pod uwagę,

że rozpad Rosji byłby katastrofalny dla bezpieczeństwa międzynarodowego”. W jej opinii podziały, które są istotnie zauważalne w Rosji, nie świadczą na razie o dążeniu do secesji, nawet jeśli brać pod uwagę republiki autonomiczne walczące od lat o poszerzenie obszaru swej niezależności w rodzaju Tatarstanu, Tuwy, czy Dagestanu i Czeczenii. Lokalne elity władzy chciałyby mieć więcej autonomii i zwiększyć swoje możliwości korzystania z przychodów z eksportu bogactw. Nie oznacza to jednak, przynajmniej na razie, opcji na rzecz secesji. Władza centrum jest nadal silna, w czasie wojny wręcz się umocniła, swoje wpływy znacznie zwiększyli też przedstawiciele resortów siłowych. Realne podziały nie przebiegają zaś według linii „centrum w Moskwie kontra buntujące się regiony”, ale w zupełnie innych wymiarach. A to oznaczałoby, że myślenie, iż Rosja może „rozerwać się wzdłuż narodowościowych szwów” grzeszy brakiem realizmu.

Opinię, że scenariusz wewnętrznej dezintegracji Rosji jest dziś mało prawdopodobny, formułują też eksperci, zarówno wywodzący się z Ukrainy, jak i z rosyjskiej emigracji antyputinowskiej, pytani przez ukraiński tygodnik „NV”. Rosyjska gospodarka trzyma się, jak na sankcje i wojnę, lepiej niż wszyscy do tej pory uważali i nawet jeśli wielu obserwatorów uważa, że z czasem jej perspektywy rozwojowe ulegną znacznemu ograniczeniu, a poziom życia ludności – obniżeniu, to nie stanie się to szybko, w ciągu kilku lat. Niewykluczone, że potrzebne będą dopiero dziesięciolecia. A zatem wydaje się, że jeśli w ogóle w Rosji zaczną się procesy dezintegracyjne, to nie szybko. Władza będzie miała wystarczająco dużo czasu, by się do nich przygotować. Prognozując dezintegrację państwową Federacji Ro-

syjskiej, należałoby założyć, że obecna elita w Rosji popełni katastrofalne błędy, trwoniąc swój obecny potencjał i możliwości. A to jest mało prawdopodobne. Nawet jeśli jednak tak się stanie – pojawia się kolejny problem. Laruelle w swym wystąpieniu podnosi oczywistą kwestię związaną ze scenariuszem rosyjskiej smuty i niewykluczonej wojny domowej. Analizuje, co może stać się w czasie ewentualnego konfliktu wewnętrznego z rosyjskim potencjałem jądrowym. Jeśli wpadnie on w ręce „nowych państw” czy walczących o władzę warlordów, to możemy mieć do

Matthew Henderson:
„Najbardziej
prawdopodobnym
rezultatem jest to, że
wyczerpana wojną Rosja
stopniowo padnie ofiarą
przytłaczających wpływów
ChRL”

czynienia z wysoce ryzykownym, szczególnie dla państw ościennych, scenariuszem związanym z jego użyciem. Zakładanie, że podział Federacji Rosyjskiej przypominał będzie rozpad Związku Radzieckiego, jest ryzykownym optymizmem.

Zwrot w stronę Syberii

To nie jedyna ważna kwestia strategiczna. Matthew Henderson, publicysta brytyjskiego „The Telegraph” postawił sprawę prosto, pisząc, że „Rosja potrzebuje Chin bardziej niż Chiny Rosji, a Pekin obróci

to na swoją korzyść. Najbardziej prawdopodobnym rezultatem jest to, że wyczerpana wojną Rosja stopniowo padnie ofiarą przytłaczających wpływów ChRL – to strategiczna transformacja, do której wolny świat powinien się dobrze przygotować”. Podobne wątki są obecne i w innych rozważaniach zachodnich ekspertów. Pekin w tym scenariuszu uzyska dostęp do ogromnych rosyjskich surowców, a ewentualna kontrola Chin nad Syberią zmieni układ sił w świecie, zdecydowanie na niekorzyść Zachodu.

Pekin uzyska dostęp do ogromnych rosyjskich surowców, a ewentualna kontrola Chin nad Syberią zmieni układ sił w świecie, zdecydowanie na niekorzyść Zachodu

Siergiej Karaganow, jeden z guru rosyjskiej geopolityki, często powtarza, i należy się z nim zgodzić, że Rosja jest mocarstwem nie dlatego, że może kontrolować Ukrainę, co przed laty twierdził Zbigniew Brzeziński, ale z innego powodu. O jej mocarstwowym statusie decyduje możliwość kontroli nad zasobami Syberii i dlatego Karaganow postuluje od lat „zwrot w stronę Azji”, zagospodarowanie Syberii, a nawet przeniesienie za Ural rosyjskiej stolicy. Ukraina ma dla Moskwy znaczenie ideologiczne (jednoczenie ruskiego miru), a także jest niezbędna, aby móc dokonywać projekcji siły do Europy

(na to zwracał uwagę Brzeziński), ale nie decyduje o mocarstwowej pozycji Federacji. Zachodni analitycy doskonale, jak sądzę, zdają sobie z tego sprawę i w związku z tym rozważania na temat przyszłości Rosji i konsekwencji jej ewentualnej dezintegracji zawsze koncentrują się na pytaniu: kto przechwyci bogactwa Syberii i jak to wpłynie na układ sił na świecie. Jeśli zatem bierze się pod uwagę ryzyka (broń jądrowa w rękach watażków), a także finał procesów związanych z rozpadem Rosji (wzrost potencjału Chin) to choćby te dwie konsekwencje powodują, że nikt nie stawia na Zachodzie na dezintegrację Rosji, a nawet uważa się tego rodzaju możliwość za niezwykle ryzykowany wariant rozwoju wydarzeń.

Turbopatrioci i demokraci

Na tym moglibyśmy właściwie zakończyć dyskusję, gdyby nie jeszcze jedna kwestia. Otóż możemy mieć do czynienia z nieintencjonalnym, niezwiązanym ze świadomą polityką Zachodu scenariuszem intensywnej walki wewnętrznej w Rosji o schedę po Putinie w przypadku porażki w wojnie. Gdy czyta się choćby ostatnie wystąpienie Jewgenija Prigożina, rzuca się w oczy fakt, że rosyjscy „turbopatrioci” porażkę Rosji postrzegają w kategoriach szansy dla siebie. Rozczarowane przegraną, w świetle tej narracji, rosyjskie społeczeństwo uzna, że zostało zdradzone przez dotychczasowe elity, trochę jak Niemcy po I wojnie światowej, obali kosmopolityczną i zepsutą klasę rządzącą i odda władzę siłom patriotycznym. Te zaś będą w stanie zmobilizować wielki naród, odbudować potęgę wojenną i za kilka, może kilkanaście lat Rosja, wracając do gry, zaprowadzi swoje porządki w Europie, a z pewnością w naszej jej części.

Z takim scenariuszem liczą się przedstawiciele intelektualnego zaplecza rosyjskiego obozu władzy, jakim bez wątpienia jest Klub Wałdajski. Przestrzegają oni, jak Iwan Timofiejew, przed nadejściem złowieszczej „wielkiej trójki”, splotu negatywnych dla Rosji trendów wewnętrznych i zewnętrznych, w tym załamania się projektu modernizacyjnego, co w dłuższej perspektywie osłabi szanse utrzymania roli samodzielnego mocarstwa. Myślą –

Karaganow postuluje od lat „zwrot w stronę Azji”, zagospodarowanie Syberii, a nawet przeniesienie za Ural rosyjskiej stolicy

jak Karaganow – o „zwrocie w stronę Azji” lub zastanawiają się – jak Łukianow – nad szansą zbudowania odrębnej „cywilizacji-Rosji”. Nie wdając się w skądinąd ciekawe rozważania, czy możliwe jest odwrócenie się Rosji od Zachodu, przeniesienie punktu ciężkości na Wschód, czerpanie wzorów modernizacyjnych z państw azjatyckich, budowa modelu rządów w stylu Singapuru, zastanówmy się, który ze scenariuszy – rozpad Federacji, czy „odwrócenie się tyłem” do Europy jest z perspektywy Polski korzystniejszy? O ryzyku związanym z rozpadem pisałem, zresztą, jak się wydaje, nasi sojusznicy wykluczają ten scenariusz, co oznaczałoby konieczność jego realizacji w osamotnieniu, a nawet przy sprzeciwie naszych partnerów, w tym przede wszystkim Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze gorszym wariantem z naszej perspektywy jest ponowne postawienie przez Zachód na demokratyzację Rosji, na zmiany w obrębie elit władzy. Chęć zablokowania przekształcenia się Rosji w surowcowy dodatek do Chin czy wręcz utraty przez nią Syberii, jeśli kraj wszedłby w fazę destabilizacji i podziału, skłania niektórych analityków z Zachodu do snucia wizji gry z dzisiejszą rosyjską opozycją. A to oznacza działania na rzecz zmiany władzy w Moskwie, na rzecz dojścia do głosu nowej elity, niewykluczone, że z Aleksiejem Nawalnym w roli głównej. Wydaje się, że gdyby dzisiaj Zachód mógł wybierać między dezintegracją Rosji, jej przekształceniem w junior partnera Chin a grą na rzecz „europeizacji” Federacji i zmiany ekipy rządzącej, to ta ostatnia opcja zostałaaby przyjęta bez wahania. Problemem jest nie tylko to, że nie musimy wierzyć w skuteczność tego rodzaju polityki, ale przede wszystkim trzeba zauważyć, że próba jej realizacji przez naszych zachodnich sojuszników jest sprzeczna z naszymi interesami. Postawienie na „demokratyzującą się Rosję” oznacza jakąś nową formułę resetu, przeniesienie uwagi Zachodu z potrzeby umacniania wojskowego i gospodarczego Ukrainy i wschodniej flanki NATO na „powtórkę z historii” i ponowne podjęcie idei budowy kolektywnego systemu bezpieczeństwa w Europie z udziałem Rosji. W zachodnioeuropejskich stolicach nadal, mimo trwającej od ponad roku wojny, są, jak wiadomo, zwolennicy takiej opcji. O ile jednak Ameryka i zachód Europy mogą skorzystać na wariancie „demokratyzacji Rosji”, o tyle w interesie Europy Środkowej leży, moim zdaniem, odgródzenie się od Moskali i ich państwa. Mamy zatem do czynienia z podstawową różnicą interesów.

Odizolować Rosję

Dlaczego musimy stawiać na odgrodenie się Rosji od Europy? Ta opcja będzie możliwa jedynie po zakończeniu wojny na Ukrainie i w rezultacie osiągnięcia „zbrojnego pokoju”. Aby to było możliwe, wschodnia flanką Europy, będąca granicą NATO i obejmująca Ukrainę, a docelowo być może także Białoruś, musi zostać wojskowo, gospodarczo i politycznie umocniona. O takim scenariuszu mówią i piszą eksperci zarówno w Stanach Zjednoczonych w rodzaju Iana Brzezińskiego i Aleksandra Vershbowa, jak i w Niemczech. Co ciekawsze, jego realizacja odpowiada, moim zdaniem, interesom obecnej elity władzy w Rosji. Jeśli staniemy się wschodnią kasztelanią NATO, której główną rolą ma być powstrzymanie ewentualnej rosyjskiej agresji w przyszłości, to nasze istnienie w sposób trwały rozdzieli Rosję i zachód Europy, uniemożliwi realizację marzenia Emmanuela Macrona o budowaniu wespół z Rosją wspólnego, europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Paradoksalnie, przy takim celu, w naszym interesie leży zarówno zakończenie wojny na Ukrainie (najlepiej – zwycięstwo Kijowa), jak i utrzymanie się u władzy reżimu Putina w Rosji. Jego rządy gwarantują bowiem, że kolejnego resetu nie

będzie, wschód Europy będzie musiał zostać umocniony, a scenariusze niekontrolowanej destabilizacji Rosji, które tak niepokoją naszych sojuszników na Zachodzie, będą mniej prawdopodobne. Rosja stanie się z czasem krajem biednym, autorytarnym i izolowanym. Rosjanie będą cierpieć, ale mimo dużej zdolności do empatii, nie jestem w stanie wykrzesać w sobie współczucia dla nich. Będą mieć taki los, na jaki sobie zasłużyli. Kiedy już będą słabi i izolowani, być może zacznie się, nie należy tego wykluczać, ostatnia faza historii Federacji Rosyjskiej – jej agonia. Mówimy

**Rosyjscy „turbopatrioci”
porażkę Rosji postrzegają
w kategoriach szansy dla
siebie**

jednak o perspektywach bardzo odległych, liczonych w dziesięcioleciach, co oznacza, że obecnie winniśmy się koncentrować na zadaniu, które jest palącym – jak umocnić wschód Europy, w jaki sposób przyjąć i odbudować Ukrainę, jak pozyskać Białoruś. Kwestię rozczłonkowania Rosji zostawmy kolejnym pokoleniom.

Waszyngton zdecyduje o zakończeniu wojny. Strategia *offshore balancing* a Rosja i Ukraina



PIOTR MICHAŁ KOSMĘDA

Radca prawny, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor nauk prawnych (Uniwersytet Śląski w Katowicach), zarządzający funduszami nieruchomości, CCIM (Certified Commercial Investment Member), przedsiębiorca. Onegdaj reprezentant Polski U-16 w piłce nożnej. Dziś uprawia triathlon i biegi górskie.

Aby spokojnie odejść na Pacyfik, Stany Zjednoczone muszą zbudować równoważącą koalicję w Europie Środkowej, zdolną powstrzymać ewentualną agresję Moskali. Geograficzną osią, na której powinien wspierać się taki sojusz, jest Polska

Wojna na Ukrainie przedłuża się. Wyczerpują się siły obu stron i zdolności do odtwarzania potencjału, w szczególności produkcji amunicji. Skłania to do zadawania pytań, kiedy konflikt się skończy. Amerykański Instytut Studiów nad Wojną (ISW) zauważa, że odnotowuje się zmniejszoną liczbę rosyjskich operacji ofensywnych na całej linii frontu, co potwierdza ocenę ISW, że ogólna rosyjska ofensywa zbliża się do punktu kulminacji. Jednocześnie wśród publicystów amerykańskich coraz bardziej intensywna jest dyskusja o sposobie zakończenia wojny. Liana Fix w tekście dla „Foreign Policy” stwierdza, że o ile strategiczna niejednoznaczność, pozostawienie w sferze nieokreślonej definicji zwycięstwa miało sens w roku 2022, tak obecnie kluczowe jest określenie warunków, które uznać można za satysfakcjonujący pokój na Ukrainie.

Decyzja o końcu wojny zależy niemal w całości od postanowień władz w Waszyngtonie. Próba antycypowania mo-

mentu, w którym USA powiedzą „pas”, może opierać się o analizę historycznych przypadków, gdzie *offshore balancer* interweniował w Europie. W ujęciu realistycznej szkoły stosunków międzynarodowych *offshore balancing* (pojęcie przyjęło się stosować w języku polskim w wersji angielskiej) to strategia, zgodnie z którą dominujący hegemon wykorzystuje w regionie jeden z podmiotów dla realizacji własnych celów, w tym równoważenia wpływów państwa dążącego do regionalnej dominacji. Reprezentatywne wydaje się wzięcie pod uwagę zarówno zachowań Stanów Zjednoczonych, jak i Wielkiej Brytanii w podobnych sytuacjach w ostatnich dwustu latach, mimo pewnych różnic pomiędzy interesami i poziomem zagrożenia, jaki generowały konflikty na Starym Kontynencie dla obu krajów. W klasycznym rozumieniu teorii realizmu ofensywnego *offshore balancer* stosuje dwie podstawowe strategie, tj. równoważenie i przetrwanie odpowiedzialności. Druga z nich

jest dla hegemonu korzystniejsza, bo generuje niższe koszty i pozwala cudzymi rękami uporać się z konfliktem wywołanym przez agresora. Równoważenie wymaga bezpośredniego zaangażowania i pociąga za sobą ryzyko dla hegemonu, zatem stosowane jest, gdy brak innych możliwości przywrócenia pożądanej równowagi. Obie te strategie są, używając modnego dziś słowa, „skalowalne”, zatem natężenie korzystania z nich nie zawsze jest identyczne.

Perfidny Albion

Brytyjczycy, wierni ideom wyłożonym w tzw. memorandum Crowe’a, zmuszeni byli do bezpośredniego zaangażowania w sprawę europejskie w latach 1792-1815, gdy potężna Francja miała ambicje podbicia najpierw Europy Zachodniej, a potem podporządkowania całego kontynentu. Ponieważ początkowo niewielkie siły angielskie były rozbijane przez Francuzów, a europejscy gracze unikali wzięcia odpowiedzialności za powstrzymanie Paryża, nie mając innego wyboru, Londyn przetrzymał na kontynent znaczne siły w latach 1808-1815 i zażegnał niebezpieczeństwo. Pozwoliło to na niemal 90-letni okres komfortowego „splendid isolation”, podczas którego żaden z podmiotów, ani słabnąca Francja, ani rosnące w siły Prusy i Niemcy, ani Wiedeń czy Rosja nie były w stanie zdominować Europy. Dopiero gdy stało się jasne po rosyjskiej klęsce w wojnie 1905, że narastające zagrożenie ze strony wilhelmińskich Niemiec nie zostanie powstrzymane przez sojusz francusko-rosyjski, Brytyjczycy przystąpili do trójporozumienia, walcząc następnie na frontach I wojny światowej. Okres międzywojenny pozwolił znów na rozbrojenie i zdystansowanie się od spraw kontynen-

talnych, aż zagrożenie hitlerowskie w drugiej połowie lat trzydziestych zmusiło Londyn do aktywności. Skalując zaangażowanie, liczone początkowo na to, że Francja poradzi sobie sama. Gdy oczywistym było, że sam Paryż nie zatrzyma ekspansji Berlina, Londyn powrócił aktywnie na kontynent, najpierw od marca 1939 w formie gwarancji udzielanych Polsce, Rumunii i Grecji, a następnie wysyłając wojsko, pospiesznie potem ewakuowane spod Dunkierki w 1940 roku. Kształtując porządek powojenny Brytyjczycy zostali zmuszeni przez zagrożenie sowieckie do pozostawienia wojsk po II wojnie światowej w zachodniej części Europy, aż do upadku ZSRS.

Odnotowuje się zmniejszoną liczbę rosyjskich operacji ofensywnych na całej linii frontu, co potwierdza ocenę ISW, że ogólna rosyjska ofensywa zbliża się do punktu kulminacji

Jak widać, zaangażowanie Wielkiej Brytanii w sprawę kontynentu dopasowane było zawsze do skali zagrożeń. W przypadku istnienia wystarczającej równowagi, Brytyjczycy stali z boku, ewentualnie ograniczali się do wspierania słabszych przeciwko silniejszym w formie dyplomatycznej. Dopiero gdy pojawiało się ryzyko hegemonu, wkraczali *manu militari*, stając po stronie strony zagrożonej zdominowaniem. Działanie takie nie wynikało ze szlachetnej potrzeby pomocy Dawidowi

w walce z Goliatem, ale chłodnej kalkulacji, której celem było przywrócenie równowagi, pozwalającej wycofać się znów za Kanał La Manche.

Znad Potomaku

Amerykański *offshore balancing* datować należy na wiek XX i XXI. W latach 1800-1900 USA były wciąż zagrożone przez imperia europejskie, a potencjał gospodarczy i militarny samej Wielkiej Brytanii przewyższał amerykański. Deklaratywnie USA hołdowały doktrynie Monroego, stanowiącej fundament polityki izolacjonizmu, która głosiła, że kontynent amerykański musi być wolny od wpływów kolonizatorów z Europy, a Stany Zjednoczone nie będą ingerowały w sprawy Europy i ich kolonii. Początkowo miała ona wartość deklaracyjną i dopiero po roku 1880 była ona faktycznie wyborem, a nie koniecznością osłaniającą słabość nowego hegemonu. Dopiero XX wiek, gdy okrzepły organizm państwowy USA pozwalał na zbrojną interwencję w Europie, przyniósł dyskusję wobec rosnącego ekspansjonizmu Niemiec.

Pierwszym wyborem jednak było przetrwanie odpowiedzialności na graczy lokalnych, którzy zawarli trójporozumienie. Gdy po implozji carskiej Rosji w 1917 roku zaistniało ryzyko zdominowania kontynentu przez Berlin, Waszyngton wkroczył militarnie, ale od roku 1923 popadł ponownie w izolacjonizm. Nawet wybuch II wojny światowej w 1939 roku nie zmienił tej postawy natychmiastowo. Znow liczone na sojusz francusko-brytyjski, stosując politykę przetrwania odpowiedzialności. Dopiero upadek Paryża i błyskawiczne sukcesy Niemiec w ramach planu Barbarossa wygenerowały ryzyko hegemonii Berlina nad Europą oraz korzystającej ze

słabości ZSRR w Azji Japonii. Ponownie, wobec braku innych możliwości zaradzenia kryzysowi Stany najpierw skokowo, pięciokrotnie zwiększyły liczebność swej armii od lata 1940 do połowy 1941, rozpoczęły program Lend-Lease, a następnie przystąpiły do wojny pod koniec 1941 na Pacyfiku, a od 1943 w Europie. Po Poczdanie ponownie zarysowała się tendencja do odprężenia i odejścia za ocean, ale agresywne plany Stalina zmusiły USA znów do pięciokrotnego zwiększenia fizycznej obecności swych wojsk nad Renem w latach 1950-53, powołania NATO i równoważenia zagrożenia komunistycznego.

Decyzja o końcu wojny zależy niemal w całości od postanowień władz w Waszyngtonie

W postępowaniu władz waszyngtońskich widać ten sam wzór, jak u Brytyjczyków – ani wybuchające wojny, ani groźni dyktatorzy dochodzący do władzy nie są powodem do zaangażowania, tak długo, jak zachowana jest lokalna równowaga. Dopiero ryzyko dominacji zmusza *offshore balancera* do wysłania wojsk na kontynent. Gdy osiągnięta zostanie lokalna równowaga bez udziału USA, te wycofują się za Atlantyk.

Podobny schemat zachowań zaobserwować można w przypadku aktywności USA w Azji. Między 1900 a 1930 rokiem równowaga sił między Japonią a Rosją skutkowałą brakiem aktywności Waszyngtonu w tym regionie. Dopiero aktywność Tokio – zajęcie Mandżurii w 1931 i wojna z Chinami od 1937, a także brytyjskie za-

miary ucieczki z Azji pod koniec trzeciej dekady wobec oznak osłabienia Związku Sowieckiego skutkowałą potrzebą wypełnienia przez USA powstającej próżni. Warto zauważyć znów, że decyzja o aktywnym równoważeniu nie została podjęta od razu – początkowo liczone na zachowanie parytetu sił Związku Sowieckiego i Japonii, a dopiero sukcesy Hitlera na polach Ukrainy i w Bramie Smoleńskiej doprowadziły do Pearl Harbor, wejścia USA do wojny i ostatecznie dekapitacji ambicji japońskich w Hiroszynie.

Model ukraiński

Nakładając matrycę ponad 200 lat historii *offshore balancingu* na toczącą się wojnę na Ukrainie, widać, że tak aktywne zaangażowanie Waszyngtonu ma swoje źródło w tym, iż brak było w Europie podmiotu na który można było przerzucić odpowiedzialność. Jednocześnie wspomniana, ostatnio tak popularna „skalowalność” stosowania polityki przetrzucania lub równoważenia powoduje, że USA nie zaangażowały się bezpośrednio w konflikt (poza incydentami – nie dochodzi do kinetycznych starć wojsk USA i Rosji), ale też nie pozostawiły losów wojny w rękach Europejczyków. Zaangażowanie „amerykańskich chłopców” w walkę mogłoby mieć miejsce jedynie w przypadku bezpośredniego ataku Rosji na Polskę (może nawet nie na Estonię czy Łotwę), lecz dziś zagrożenie to nie istnieje – Rosja nie ma na to siły. Trud bezpośredniej walki przerzucony został na wojsko ukraińskie, wsparcie na zapleczu logistycznym ciąży na Polsce, presja na sojuszników powoduje pomoc finansową i materiałową z Europy, ale główny ciężar utrzymania Kijowa w wojnie spoczywa na Stanach Zjednoczonych.

Jeśli drugą matrycą kształtującą zachowanie USA jest strategia sekwencjonowania, polegająca na unikaniu konfliktu na dwa fronty, to można pokusić się o prognozowanie, kiedy wojna na Ukrainie się zakończy. Zakładając bowiem, że decyzja taka zależna jest od polityków nad Potomakiem, to stanie się tak, gdy ich cel w postaci osiągnięcia „balance of power”

Brytyjczycy stali z boku, ewentualnie ograniczali się do wspierania słabszych przeciwko silniejszym w formie dyplomatycznej. Dopiero gdy pojawiało się ryzyko hegemonu, wkraczali *manu militari*

oraz usunięcia zagrożenia walki na drugorzędnym froncie europejskim zostanie osiągnięty. Nie ma sensu wtedy dłużej prowadzić wojny na Ukrainie. Drekuje ona amerykańskie zapasy amunicji (zmuszając Pentagon do pięciokrotnego zwiększenia jej produkcji), a zatem osłabia USA w relacji z Chinami. Waszyngton będzie zatem w roku 2023 intensywnie dążył do pokoju, nie dlatego, że pokój miłuje, ale dlatego, że bliskie jest osiągnięcie zadowalającej równowagi, a przynajmniej jej załączka na tyle trwałego, by zakończyć ten etap konfliktu. Na froncie obecnie widoczny jest brak perspektyw zarówno dla odzyskania przez Ukrainę całości jej terytorium, wraz z Krymem i Donbasem, a jednocześnie Rosja nie jest w stanie

politycznie złamać woli Kijowa i zainstalować tam marionetkowego rządu, co, jak się wydaje, było pierwotnym celem Putina.

We wszystkich przytoczonych przypadkach *offshore balancer* zaangażowany jest w konflikt tak długo, jak nie wykryta zostanie dostateczna równowaga. W Europie proces ten potrwa pewnie kilkanaście lat, ale tak dużo czasu USA nie mają.

Zaangażowanie

**„amerykańskich chłopców”
w walkę mogłoby mieć
miejsce jedynie w przypadku
bezpośredniego ataku Rosji
na Polskę**

Muszą już dziś uwolnić zasoby i poszukać rozwiązania, które pozwoli przerzucić odpowiedzialność za pokój na Starym Kontynencie na jego mieszkańców. W perspektywie kilku, kilkunastu lat nie widać, poza Rosją, możliwości zdominowania Europy przez inne państwo. Ale dzisiejsza Rosja to nie zimnowojenny Związek Sowiecki, który wymagał stałej obecności wojsk amerykańskich nad Renem. Z tym zagrożeniem poradzić mogą sobie sojusznicy lokalnie. Aby zabezpieczyć się przed osłabioną Moskwą i spokojnie odejść na Pacyfik, USA muszą zbudować równoważącą koalicję w Europie Środkowej, zdolną powstrzymać ewentualną agresję Moskali. Koalicja taka może liczyć na wsparcie w postaci rozpoznania satelitarnego oraz nuklearnego parasola, ale już raczej nie broni i amunicji. Waszyngton oczekiwał będzie samodzielności. Zakła-

dając, że w interesie USA jest utrzymanie Rosji za co najmniej za umowną linią Dniepru i Dźwiny – geograficzną osią, na której powinien wspierać się taki sojusz, jest Polska. Nie przesądza to o naszej roli, bo możliwy jest scenariusz akceptacji roli junior partnera USA przez Niemcy, choćby w zamian za ułatwienia w handlu i zmniejszenie dolegliwości dla firm niemieckich rygorów wynikających m.in. z Inflation Reduction Act (na wzór przywilejów dla Kanady i Meksyku). Wobec mniej przychylniej Waszyngtonowi postawy, mniej prawdopodobny jest taki alians z Paryżem, ale każdy z alternatywnych scenariuszy grozi nam trwałym pozostaniem w regionalnej drugiej lidze.

Lata trzydzieste... lata czterdzieste

Polska powinna zatem dojrzałe i świadome, a nie w sposób kłótniwy i chaotyczny, negocjować z USA warunki, na jakich przyjmie na siebie rolę amerykańskiego policjanta w Europie. Niezbędne do tego jest umiejętne wciągnięcie do planu Niemiec z ich dążeniem do zdominowania kontynentu, przy jednoczesnym zachowaniu wolności handlu z Chinami i powrotu do biznesu z Rosją, co wymaga balansowania na linii wschód-zachód. W osi pionowej konieczna jest budowa realnych wspólnych zdolności militarnych na Bałtyku wraz z Finami i Szwedami, a na kierunku południowym – poszukanie stycznych z Ankarą, która szachuje Kreml nad Morzem Czarnym. Wreszcie najważniejsze: w najbliższym otoczeniu trzeba budować trzeba mosty przez Bug, najpierw na bazie wspólnych doświadczeń kulturowych, a potem wspólnoty politycznej, już teraz ze „złym Łukaszenką”, nie dmąc w ideowe trąby demokratycznego imperatywu, ale realizując Realpolitik.

Czysto teoretycznie, modelowo aplikując powyższą teorię, abstrahując od realnych możliwości realizacji takiego scenariusza trzeba zauważyć, że gdyby kiedykolwiek, za lat kilkadziesiąt, Polska na tyle urosła w siłę, by zaczęła aspirować do podmiotu lokalnie zbyt silnego – to Warszawa stałaby się przedmiotem równoważenia. Ten czysto hipotetyczny wariant wydarzeń wart jest uwagi nie po to, by wzorem przedwojennej sanacji bić w tromtadrackie bębny, ale by trawestując słowa H. Temple'a pamiętać, że *offshore*

balancer „nie ma wiecznych wrogów ani wiecznych przyjaciół, ma tylko wieczne interesy”. Stany Zjednoczone nie wspierają polskich celów dlatego, że nas lubią, ale dlatego, że realizują swój interes. Gdyby polski interes był sprzeczny z amerykańskim, to będziemy przez hegemoną zwalczani. Zamiast nadmiernej ufności w swą moralną wyższość i siłę amerykańskiego wsparcia nad Wisłą wołałbym zatem refleksję nad tym, że ta chwila, w której interes USA jest wyjątkowo zbieżny z polskim, być może właśnie mija.

Ku likwidacji rosyjskiego mocarstwa. Czy spełni się marzenie realisty Radziejewskiego?



ROBERT KURASZKIEWICZ

W latach 80-tych działacz opozycji antykomunistycznej w Ruchu Młodzieży Niezależnej i Ruchu Młodej Polski, jeden z założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, publicysta, przedsiębiorca i menadżer

Bez Ukrainy Rosja nie może być mocarstwem globalnym, a bez państw Azji Środkowej nie jest już mocarstwem regionalnym. W takiej sytuacji scenariusz rozpadu Rosji może się ziścić

W [artykule](#) „Świat bez Rosji. Marzenie, o które warto walczyć” Bartłomiej Radziejewski przedstawił „realistyczne marzenie”, czyli geopolitycznie pustą wielką przestrzeń na wschód od Polski. Oczywiście autor nie sugeruje likwidacji Rosji, bo jej się zlikwidować nie da. Chodzi o likwidację Imperium Rosyjskiego jako mocarstwa, które zbudowało swoją potęgę na ekspansji w Europie Środkowej, Wschodniej i Azji Centralnej. Na drodze do wzrostu tej potęgi stała I Rzeczpospolita jako podmiot organizujący politycznie przestrzeń w tej części Europy, między Wartą a Dnieprem. Na ewentualnym rozpadzie Imperium Rosyjskiego także dziś najwięcej zyskałaby nasza część Europy, w tym Polska. Jednak I Rzeczpospolita, mimo że przez stulecia dysponowała większym potencjałem niż sąsiad tworzący Imperium, w końcu mu uległa. A przez ostatnie dziesiątki lat istnienia, jeszcze jako formalnie niepodległy podmiot, zносиła upokorzenia praktycznie jako państwo kolonialne, rządzone żelazną ręką przez

namiestników Petersburga w postaci kolejnych ambasadorów.

Upadek wielkich idei

Od czasów Iwana Groźnego Moskwa, a później Rosja, żyła nieustanną ekspansją, zbudowanej na dwóch mitach. Pierwszy mit to niewola mongolska i idea nieustannej obrony Rosji przed najeźdźcami ze wschodu, a później – również z zachodu. Konieczność obrony zmuszała Rosjan do poszerzania granic, żeby odsunąć niebezpieczeństwo. Za osiągniętą rubieżą pojawiała się kolejna granica, która to zabezpieczenie miała zwiększyć. Drugim mitem był Trzeci Rzym, czyli specjalna misja Moskwy – ocalenie prawdziwej wiary/idei. Najpierw była to forma prawosławnego chrześcijaństwa w postaci Samodzierżawia, a jego kontynuacją był komunizm. Rosja zawsze na bagnietach niosła lepszy świat. Obecnie ten mit się rozsypuje, pomimo prób zintegrowania przez Putina tradycji stalinowsko-prawosławnej. Świetnie to

opisał w swojej najnowszej książce Piotr Skwieceński. Idea putinowsko-prawosławna wygląda groteskowo pomimo wydawania ikon z wizerunkiem „świętego” Putina. Chętnych na jej przyjęcie w świecie nie ma zbyt wielu. Dlatego Rosjanie obecnie koncentrują się na propagandzie mitu o konieczności obrony Rosji, której ma zagrażać niepodległość i tożsamość narodowa Ukraińców. Jest to o tyle ważne, że Imperium bez misji dziejowej jest w punkcie wyjścia słabsze. Brutalna rosyjska agresja zawsze była oparta na Wielkiej Idei, dla której warto było poświęcić życie. Brak idei delegitymizuje Imperium, czyli może przyczynić się do tego, że będzie się ono dalej cofać, aż do granic Wielkiego Księstwa.

**Brutalna rosyjska agresja
zawsze była oparta na
Wielkiej Idei, dla której
warto było poświęcić życie.
Brak idei delegitymizuje
Imperium, czyli może
przyczynić się do tego, że
będzie się ono dalej cofać, aż
do granic Wielkiego
Księstwa**

Imperium Rosyjskie osiągnęło szczyt terytorialnej potęgi po II wojnie światowej, kiedy to jeden „ruski żołdat” stanął nad Łabą, a inny spoglądał na odwieczne marzenie carów i sekretarzy, czyli Dardanele. Od tego momentu się cofa. Jestem z pokolenia, które żyło jeszcze w przekonaniu, że Związek Sowiecki to kolos, a marzeniem

Polaków było wyrwanie choćby kawałka niezależności. Właśnie wtedy jednak Moskwa wchodziła w ostatnią fazę „imperialnego przeciążenia” i nie była w stanie dalej dźwigać potęgi zbudowanej na słabych podstawach. Przegrany technologiczny wyścig zbrojeń z Zachodem, „rwanie się wzdłuż szwów narodowościowych” i bunty społeczne doprowadziły do upadku Związku Sowieckiego, a władza rosyjska symbolizowana zawsze obecnością żołdata wycofała się ze wszystkich „demoludów” i kilku republik postsowieckich. Kiedy Gorbaczow zgodził się na wycofanie żołnierzy rosyjskich z Niemiec Wschodnich w zamian za pomoc w modernizacji Rosji, jeszcze zakładał, że zostaną oni nad Wisłą. Dzisiaj od dawna nie ma ich w Polsce, a żołnierze NATO w Estonii stacjonują kilkadziesiąt kilometrów od Petersburga. Rosja nie walczy o linię Łaby ani Bugu, ale o południowy Dniepr i Doniec. Jej terytorium więc się kurczy. Nie ma już też Idei. Została Obrona. Żeby Imperium przestało istnieć, Rosja musi się dalej jeszcze skurczyć. Czy to jest realne?

Putin się przeliczył

Władimir Putin przystąpił do ataku na Ukrainę, bo uznał, że jest to ostatni moment na odwrócenie trendu upadku Imperium w tworzącym się nowym świecie. Do wojny przygotowywał się przez lata. Gromadził zasoby wojskowe i finansowe. Na pewno się przeliczył. Jego maksymalnym celem obecnie jest utrzymanie pasa lądowego w stronę Krymu i nadzieja na to, że Zachód pozostawi Ukrainę z jej problemami samą sobie, co spowoduje, że będzie ona państwem upadłym. Średnio i długoterminowe koszty tej wojny dla Rosji będą ogromne. Po pierwsze, przyspieszony i pogłębiony kryzys demogra-

ficzny spowodowany utratą co najmniej kilkuset tysięcy (front i emigracja) młodych mężczyzn. Po drugie, utrata zdecydowanej większości europejskiego, czyli najbardziej lukratywnego, rynku zbytu dla swoich surowców. Rystad Energy ocenia, że eksport gazu z Rosji w roku 2023 wyniesie około 136 mld m³ wobec 241 mld m³ wyeksportowanych w roku 2021. Po trzecie, generalnie trwa rozłączanie się z Europą i Zachodem na rzecz uzależnienia od Dalekiego Wschodu, gdzie pozycja negocjacyjna Rosji jest słabsza. Poza tym budowane Imperium zawsze miało charakter modernizacyjny, czyli zachodni.

Idea putinowsko-prawosławna wygląda groteskowo, pomimo wydawania ikon z wizerunkiem „świętego” Putina. Chętnych na jej przyjęcie w świecie nie ma zbyt wielu

Oczywiście na modłę rosyjską, ale oparte na prądach idących z Zachodu. Tak było w czasach Piotra Wielkiego i w czasach stalinowsko-marksistowskiej industrializacji. Po czwarte, utrata wielkiej ilości sprzętu wojskowego i rynków zbytu na broń. To wszystko są procesy, które Rosję co najmniej w średnim terminie bardzo mocno osłabiają.

Najważniejszym czynnikiem, który obecnie podtrzymuje Rosję, są nagromadzone zapasy finansowe. Jeszcze w zeszłym roku dochody praktycznie wystarczały na

bieżące finansowanie wojny. W tym roku już jednak jej dochody drastycznie spadają, a koszty równie silnie rosną. Gospodarka i wysiłek wojenny są podtrzymywane przepłacaniem za towary, które Rosja musi sprowadzać z całego świata. Nie licząc zniszczonego sprzętu militarnego, którego wartość idzie w miliardy. Część gospodarki, która pracuje na rzecz frontu, nie wytwarza wartości dodanej, ponieważ wytworzona produkcja jest natychmiast przepalana na wojnie. Sztucznie zawyża to poziom PKB, ponieważ nie jest tworzona wartość dodana, a konieczne jest finansowanie budżetowe. Jest to tak samo nieefektywne jak sprowadzanie z zagranicy broni, za którą trzeba zapłacić, żeby ją „zniszczyć” na froncie. Nie mamy pewności, ile tych zasobów finansowych Rosja jeszcze posiada. Chcąc przybliżyć upadek Rosji, powinniśmy sobie cynicznie życzyć, żeby wojna potrwała jeszcze 2 do 3 lat. Wtedy już na pewno zasoby rosyjskie będą wyczerpane. W efekcie wojny baza dochodowa drastycznie się skurczy, a przed Rosją stanie problem modelu rozwoju, bo stary się wyczerpał.

Odwrócenie sojuszy?

Jeżeli Rosja będzie się dalej rozpadać, to bardziej w wyniku implozji niż świadomej polityki USA, czy też państw europejskich. To Putin zaczął wojnę, która – wszystko na to wskazuje – przyspieszyła jej problemy. Prezydent Biden zorganizował koalicję państw, która uratowała Ukrainę, ale zrobił tak w równym stopniu z powodu samej Rosji, jak i dla powstrzymania wzrostu potęgi osi autokracji, czyli Chin. Od wielu lat na stole leży oferta Waszyngtonu dla Moskwy, polegająca na odwróceniu sojuszy. To Putin z niej rezygnuje, gdyż musiałyby się wiązać z zaakcepto-

waniem roli juniora i spadkiem wpływu na sprawy europejskie. Paradoks polega na tym, że te cele Waszyngton i tak osiąga w efekcie wojny. Rozdzielenie Rosji z Europą, w tym z Niemcami, trwa – i współpraca nie wróci już do poziomu sprzed ataku. Owszem, po wygraniu zimnej wojny, Waszyngton popierał integralność terytorialną Rosji. Prezydent George Bush w czasie wizyty w Kijowie w 1991 roku namawiał Ukraińców, żeby nie ogłaszali

Chcąc przybliżyć upadek Rosji, powinniśmy sobie cynicznie życzyć, żeby wojna potrwiała jeszcze 2 do 3 lat

niepodległości. Rosja miała gwarantować stabilność i pokój w dawnym Związku Sowieckim (poza państwami bałtyckimi, które zawsze miały osobny status). Na marginesie tylko wskażę na taki paradoks, że z mocarstw europejskich Amerykanie nie toczyli bezpośredniej gorącej wojny tylko z Francją i Rosją, a Rosja aż do zakończenia II wojny była traktowana jako państwo przyjazne. Prezydent Abraham Lincoln potępiał powstanie styczniowe jako próbę rozbijania jedności kraju, czyli Rosji. Amerykańska presja w większym stopniu niż rosyjska skłoniła kraje posowieckie do pozbycia się broni jądrowej. Ta doktryna amerykańska jednak już się wyczerpała. Dzisiaj i w przyszłości Amerykanie będą popierali integralność Rosji, jeżeli zgodzi się ona na odwrócenie sojuszy, a nie z powodu obaw przed destabilizacją w regionie. Kilka lat po wojnie może się okazać, że Rosja główne zagrożenie będzie

widzieć jednak znów na wschodzie, a nie na zachodzie.

Osobnym zagadnieniem jest kwestia broni nuklearnej. Dziś jest to dla Rosji najważniejszy argument na rzecz roszczeń do mocarstwowości. Rosyjski arsenał nuklearny jest dla Chin ważnym argumentem na rzecz współpracy z Moskwą. Równoważą on strategiczną przewagę USA nad Chinami. Za ponad 10 lat Chińczycy chcą mieć jednak własny pełny arsenał nuklearny, więc waga ich porozumień z Rosją spadnie. To kolejny argument na rzecz potencjalnego odwrócenia sojuszy.

Jak przyczynić się do rozpadu Rosji

Co musi się stać, by Rosja dalej się rozpadała? Przede wszystkim musiałaby wyraźnie przegrać wojnę na Ukrainie. Potem musiałby nastąpić kryzys finansowy, powodujący załamanie gospodarcze. Warunkiem załamania systemu finansowego Rosji są niskie ceny paliw kopalnych po zakończeniu wojny, czego nie można wykluczyć. Ale najważniejszym elementem nowego, „porosyjskiego” porządku jest pełna niezależność państw Azji Centralnej. Idąc tropem Zbigniewa Brzezińskiego, można powiedzieć, że bez Ukrainy Rosja nie może być mocarstwem globalnym, a bez państw Azji Środkowej nie jest już mocarstwem regionalnym. W takiej sytuacji „marzenie realisty” może się ziścić.

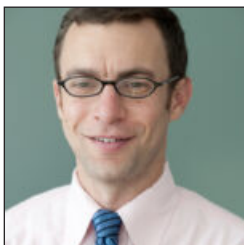
Tak czy inaczej, Rosja nadal się kurczy, a Putinowi nie udało się odwrócić tego trendu. Polska mogłaby odegrać istotną rolę w dalszym „kurczeniu” się Rosji, gdyby miała zdolność do rozbudowy relacji politycznych, a przede wszystkim ekonomicznych z państwami Azji Centralnej i Białorusią. Uparcie jednak twierdzą, że lepsze relacje z państwami Zachodu są nam niezbędne, by w ramach aktywizmu

Europejskiego kształtować w tych obszarach politykę całej Unii. Polska w tych relacjach powinna występować jako przedstawiciel Zachodu, Unii Europejskiej, a nie tylko we własnym imieniu. Silna Polska i zjednoczony Zachód to najlepsza droga do dalszego osłabiania Rosji.

Na koniec jeszcze tylko jedna uwaga. Koncentrowałem się na „marzeniu realisty”, czyli ocenie szansy na świat bez Imperium Rosyjskiego w najbliższym czasie. Myślenie realne skłania jednak do uwzględniania w polityce na najbliższe

lata wariantu podstawowego, czyli Rosji jako państwa rewanżystowskiego, zdolnego do odbudowy swoich zasobów finansowych i wraz z nimi militarnych. Tak czy inaczej, powinniśmy bardzo ściśle obserwować to, co będzie się działo w Rosji po wojnie. Powinniśmy wrócić do naszej tradycyjnej specjalizacji, czyli pogłębionych badań nad kulturą i polityką rosyjską. Polska powinna być największym specjalistą od spraw rosyjskich na całym Zachodzie.

Konsensus pekiński zamiast waszyngtońskiego. Szybki, sprawny i niebezpieczny



JOSHUA KURLANTZICK

amerykański dziennikarz pochodzący z Baltimore w stanie Maryland w Stanach Zjednoczonych. Jest ekspertem ds. Azji Południowo-Wschodniej w nowojorskim think tanku Council on Foreign Relations. Opublikował m.in. książki „Democracy in Retreat” i „Charm Offensive: How China’s Soft Power Is Transform the World”

Gdy zachodni przywódcy, decydenci polityczni i dziennikarze pytali, czy ich własne systemy zawiodły, chińscy przywódcy zaczęli bardziej wyraźnie promować swój autorytarny, kapitalistyczny model rozwoju

Uczestnicy Światowego Forum Ekonomicznego w Davos nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś im mówi, co mają robić. Szwajcarski kurort przyciąga globalną elitę: najpotężniejszych bankierów inwestycyjnych, najwyższej rangi urzędników państwowych i przywódców, największych filantropów i najsłynniejsze gwiazdy. Wszyscy oni co roku zbierają się, by próbować rozwiązać najpilniejsze problemy świata i wciąż mają czas na wieczorne koktajle.

Ale w styczniu 2009 roku tłum w Davos musiał wysłuchać wstrząsającego wykładu z najbardziej nieprawdopodobnego źródła. Niektórzy sądzą, że najwyższą rangą chiński przywódca, który wziął udział w Światowym Forum Ekonomicznym, premier Wen Jiabao, podejście lekko do swojego przemówienia na Forum. Ale tak się nie stało. Miesiące po upadku Lehman Brothers, który wywołał globalny kryzys gospodarczy, Wen powiedział uczestnikom Davos ze złością, że Zachód ponosi całkowitą winę za krach, który przetoczył

się przez cały świat. „Nadmierna ekspansja instytucji finansowych w ślepej pogoni za zyskiem”, niepowodzenie nadzoru państwowego nad sektorem finansowym oraz „niezrównoważony model rozwoju, charakteryzujący się długotrwałymi niskimi oszczędnościami i wysoką konsumpcją” spowodowały ten kryzys.

Pięć lat wcześniej taka postawa chińskiego przywódcy byłaby nie do pomyślenia. Chociaż w latach 90-tych i na początku XXI wieku Chiny wykorzystywały swoją miękką siłę, aby uspokoić swoich azjatyckich sąsiadów i aby rozszerzyć swoje wpływy w regionach takich jak Afryka i Ameryka Łacińska, do końca 2008 roku prawie każdy najwyższy chiński urzędnik nadal postępował zgodnie ze starą radą Deng Xiaopinga, aby budować siłę Chin przy jednoczesnym nieeksponowaniu swego znaczenia w stosunkach międzynarodowych. W 1985 roku Deng powiedział jednemu z wizytujących Chiny przywódców afrykańskich: „Proszę nie kopiować naszego modelu. Jeśli jest jakieś

doświadczenie z naszej strony, to jest to formułowanie polityki w oparciu o własne, narodowe uwarunkowania”. W połowie pierwszej dekady XXI wieku amerykański dziennikarz Joshua Cooper Ramo ukuł termin „konsensus pekiński”, aby opisać chińską odmianę autorytarnego kapitalizmu, a prywatnie niektórzy chińscy naukowcy zaczęli dyskutować o tym, czy Pekin może być wzorem dla innych krajów w Azji, w Afryce czy w Ameryce Łacińskiej. Mimo to żaden chiński urzędnik, naukowiec ani żadna opiniotwórcza osoba nie byli skłonni powiedzieć publicznie, że ich zdaniem Chiny mają taki model rozwoju politycznego i gospodarczego, za którym inne kraje rozwijające się mogłyby podążyć. Wielu czołowych przywódców publicznie przyjęło linię, że Chiny są krajem rozwijającym się, który wciąż może się wiele nauczyć od świata.

Jednak gdy w latach 2008 i 2009 światowy kryzys gospodarczy zdziesiątkował gospodarkę niemal każdej z głównych demokracji, Chiny przetrwały kryzys praktycznie bez szwanku, gdyż Pekin wdrożył swój własny duży, wart około 600 miliardów dolarów pakiet stymulacyjny. Gospodarka Chin wzrosła w 2009 roku o prawie 9 procent, podczas gdy w tym samym czasie gospodarka Japonii skurczyła się o ponad 5 procent, a gospodarka amerykańska o 2,6 procent. Do sierpnia 2010 roku Chiny (nie licząc Hongkongu) posiadały ponad 860 mld dolarów w obligacjach amerykańskich; kiedy chińscy przywódcy wrócili do Davos rok po zbesztaniu Zachodu przez Wena, nie przybyli pogawędzić, ale by zapolować na zagrożone zachodnie aktywa, które mogliby tanio kupić. W następstwie kryzysu wielu zachodnich przywódców zaczęło się zastanawiać, czy aby nie tylko ich własne gospodarki, ale także ich systemy poli-

tyczne w rzeczywistości nie posiadają głębokich, być może nienaprawialnych wad. Kryzys gospodarczy – stwierdził były zastępca sekretarza skarbu USA Roger Altman – „upokorzył model amerykański”. „Ta stosunkowo nienaruszona pozycja daje Chinom możliwość umocnienia swoich strategicznych przewag, podczas gdy Stany Zjednoczone i Europa borykają się z odbudową” – pisał.

**Miesiące po upadku Lehman
Brothers, który wywołał
globalny kryzys
gospodarczy, Wen
powiedział uczestnikom
Davos ze złością, że Zachód
ponosi całkowitą winę za
krach, który przetoczył się
przez cały świat**

Wady te były szczególnie zauważalne w porównaniu z tym, co wydawało się być sprawnym, szybkim podejmowaniem decyzji przez chińskie przywództwo, które nie musiało pokonywać takich „przeszkód”, jak prawodawstwo, sądownictwo lub wolne media, które faktycznie mogły kwestionować lub blokować jego działania. „Jednopartyjna autokracja z pewnością ma swoje wady. Ale kiedy jest kierowana przez rozsądną, oświeconą grupę ludzi – jak w dzisiejszych Chinach – może również mieć ogromne zalety” – pisał wpływowy felietonista „The New York Times” zajmujący się stosunkami międzynarodowymi, Thomas Friedman. „Jedna partia

może po prostu narzucić politycznie trudną, ale potencjalnie ważną politykę niezbędną do pchnięcia społeczeństwa do przodu”. Nawet John Williamson, ekonomista, który ukuł termin „konsensus waszyngtoński” przyznał w eseju z 2012 roku, że konsensus pekiński wydawał się szybko zyskiwać na wartości, kosztem konsensusu waszyngtońskiego.

„Jednopartyjna autokracja z pewnością ma swoje wady. Ale kiedy jest kierowana przez rozsądną, oświeconą grupę ludzi – jak w dzisiejszych Chinach – może również mieć ogromne zalety”

Gdy zachodni przywódcy, decydenci polityczni i dziennikarze pytali, czy ich własne systemy zawiodły, chińscy przywódcy zaczęli bardziej wyraźnie promować swój autorytarny, kapitalistyczny model rozwoju. Ostatecznie w czasie kryzysu wiele zachodnich rządów, w tym rządy

Francji i Stanów Zjednoczonych, uratowało swoje sektory finansowe i wiele wiodących firm. Te pakiety ratunkowe utrudniły zachodnim przywódcom krytykę interwencji gospodarczych Pekinu i doprowadziły do tego, że niektórzy chińscy urzędnicy zastanawiali się, czy zachodnie demokracje kopią teraz model chiński. W Pekinie ukazało się mnóstwo nowych książek promujących chiński model rozwoju i obnażających błędy zachodniego liberalnego kapitalizmu. „Jest bardzo możliwe, że konsensus pekiński może zastąpić konsensus waszyngtoński” – powiedział Cui Zhiyuan, profesor na Uniwersytecie Tsinghua w Pekinie w wywiadzie dla International Herald Tribune na początku 2010 roku. Ci sami chińscy przywódcy, którzy na początku i w połowie pierwszej dekady XXI wieku ciągle odgrywali rolę potulnego ucznia, nagle w przemówieniach, wystąpieniach publicznych i pismach stali się bardzo triumfalistycznymi nauczycielami. W artykule w „China Daily” jeden z ekspertów think-tanku z chińskiego Ministerstwa Handlu pisze: „Aby ukryć swoją niekompetencję, najważniejsi urzędnicy finansowi w USA muszą odwrócić uwagę swoich obywateli od borykającej się z problemami ekonomii, obwiniając przy tym Chiny o wszystko to, co się dzieje w ich kraju nie tak”.

Opowieść o dwóch potworach i czterech żywiołach. Różne oblicza Carla Schmitta a obecny kryzys globalny



JOHN MILBANK

właśc. Alasdair John Milbank – anglikański teolog, emerytowany profesor na Wydziale Teologii i Studiów Religijnych Uniwersytetu w Nottingham. Twórca ruchu radykalnej ortodoksji. W swojej pracy naukowej łączy teologię z socjologią, etyką, estetyką, filozofią i politologią.

Powstała klasa naukowych technokratów, kierujących działalnością klasy polityków pozbawionych honoru, którzy całkowicie podporządkowali sobie wszystkich innych ludzi. Ocalić nas może jedynie duchowa rewolucja

Wprowadzenie

Niniejszy esej składa się z dwóch odrębnych części.

W pierwszej z nich przeanalizuję złożony w sposób, w jaki myśl Carla Schmitta pozostawała rozszczępiona między trzema nurtami: katolickim uniwersalizmem, rozciągającym „prawo ludzkości” na cały glob; nowożytną obroną normatywności absolutnie suwerennego państwa narodowego; i wreszcie podkreśleniem nadrzędności bardziej ograniczonego, lądowego terytorium cywilizacyjnego, obejmującego obszar mniejszy od całej planety, ale większy od tego zajmowanego przez państwo. W trzecim przypadku tym, co ukradkiem wysuwa się na pierwszy plan, jest w rzeczywistości „imperium” – ponad wszystko zachodnie imperium lądowe, którym niegdyś była *christianitas*.

Jeśli chodzi o pierwszy z idiomów, „wrogiem” jest po prostu zło, zaś „wyjątkiem” – nasza sprawiedliwie rozdzielona i wynikająca z łaski odporność na zło.

W drugim z idiomów wrogiem jest to, co obce narodowi, zaś wyjątkiem – arbitralne potwierdzenie formalnej suwerenności, niezbędne w imię pokoju i nieodwołujące się do jakiegokolwiek konkretnej normatywności. Natomiast w idiomie trzecim wróg ma charakter bardziej cywilizacyjny: prototypowo jest nim przeciwstawiany chrześcijaństwu islam. Choć ów trzeci idiom jest naznaczony katolicką wielkodusznością, właściwą idiomowi pierwszemu, to w ostatecznym rozrachunku pozostaje zbrukany atawizmem, a zatem jest w większym stopniu niż idiom drugi powiązany z nazistowskim okresem w życiu Schmitta.

Poniżej postaram się wykazać, że idiom pierwszy jest przez Schmitta nieustannie tłumiony. Drugi idiom początkowo dominował w jego myśli i nigdy nie został przezeń całkiem porzucony. Jednak stopniowo na pierwszy plan wysuwał się u niego idiom trzeci, celebrowany cywilizacyjne terytorium lądowe. Tak więc wbrew temu, co mogłoby się wydawać, w Schmittowskiej

krytyce anglosaskiego „imperium morskiego” w nieco większym stopniu chodzi o obronę lądowej cywilizacji niż lądowych państw narodowych.

Już w pierwszej części eseju przyjmę, że idiom drugi mniej więcej odpowiada westfalskiemu porządkowi niezawisłych państw narodowych wraz jego Kantowską, internacjonalistyczną i ekonomistyczną modyfikacją (przez Schmitta lekceważoną), którą współcześnie ujmujemy jako „globalizację”. Próba powrotu do bardziej Hobbesowskich i nacjonalistycznych podstaw tego porządku (niekiedy przez

Idiom trzeci ze względów genealogicznych (które zostaną wskazane) w przybliżeniu odpowiada przyjmowanej przez Władimira Putina ideologii eurazjanizmu, łączącej w sobie elementy zarówno nacjonalistyczne, jak i imperialistyczne

Schmitta popieranych) w mniejszym lub większym stopniu odpowiada temu, co obecnie określamy mianem „populizmu”.

Idiom trzeci ze względów genealogicznych (które zostaną wskazane) w przybliżeniu odpowiada przyjmowanej przez Władimira Putina ideologii eurazjanizmu, łączącej w sobie elementy zarówno nacjonalistyczne, jak i imperialistyczne, podkreślając wagę zarazem absolutnej suwerenności, jak i mistyki mieszania się ras oraz wspólnoty ziemi. Dla tej ideologii

„wrogiem” jest dekadenski liberalizm Zachodu, zaś „wyjątek” uzasadnia się koniecznością obrony absolutnej i nieprzekraczalnej różnicy cywilizacyjnej.

W drugiej części eseju postaram się wskazać, jak można by rozwinąć zaniebdany przez Schmitta idiom pierwszy, mianowicie ten odnoszący się do uniwersalizmu ziemi i ducha. Niemniej będę się tu odwoływać do właściwego tak Schmittowi, jak i eurazjanizmowi zainteresowania tym, co związane z żywiołami oraz co dotyczy relacji między ludzkim duchem a światem naturalnym (choć owo podejście zostanie przeze mnie dogłębnie zmodyfikowane). Opowiem się za „imperializmem” bardziej uniwersalizującym i ukierunkowanym na wspólnotę narodów, przeciwstawionym zarówno atawistycznemu nacjonalizmowi, jak i atawistycznemu imperium; odrzucę też Schmittowski dualizm „lądu i morza”.

Tak więc tym, co zamierzam w ostatecznym rozrachunku zaproponować, jest przeformułowany „*nomos* ziemi”.

I

Carl Schmitt drugiego idiomu bronił „Lewiatana” rozumianego jako absolutnie suwerenne, polityczne, organizujące dany naród „państwo”, niezwiązane z żadnym zewnętrznym podmiotem jakimkolwiek nierozzerwalnym, prawnie regulowanym sojuszem¹. Hobbesowski pozytywizm został na nowo osadzony w swych pierwotnych, teologicznie nominalistycznych i woluntarystycznych ramach, które przeciwstawiono liberalnej naiwności, niezdolnej zaakceptować głoszonej przez Hobbesa prawdy i dostrzec Locke’owskie złudzenia odnośnie do ostatecznych granic liberalizmu, za którymi zawsze czai się jakiś arbitralny wróg oraz arbitralny wyjątek.

Jednak Schmitt pierwszego i trzeciego idiomu zawsze żywił większy szacunek względem wielowiekowej spuścizny katolickiej oraz jej przekonania o internacjonalistycznym charakterze prawa i porządku. Ten Schmitt wszakże polował na Lewiatana, na nowo utożsamiając go z biblijnym i kabalistycznym potworem morskim, nacechowanym fałszem oraz żydowsko-kalwinistyczno-anglosaskim ukierunkowaniem na to, co wiąże się z morzem i handlemⁱⁱ. Potwora tego należało przeciwstawić nie tylko zwykłym normatywnemu dla Schmitta porządkowi Hobbesowskiemu, zakładającemu okresowe zawieszanie i wznawianie wojen między państwami narodowymi, ale również stanowiącemu jedną całość terytorium lądowemu, połączonemu ustrojem prawnym, a nawet wspólną władzą imperialną.

Idiom trzeci, coraz bardziej interesujący i coraz bardziej dominujący w myśli Schmitta, stanowił również coraz większe wyzwanie dla narcystycznych i mających nieść ukojenie ram epistemologicznych, właściwych zarówno liberalnemu, jak i marksistowskiemu myśleniu. Czy rzeczywista historia faktycznie – jak paradigmatycznie przyjmuje się w ekonomii politycznej – rozwija się zgodnie z parametrami wyznaczanymi przez ogólnoludzkie i indywidualne impulsy, które możemy bez problemu pojąć, gdyż mają one tak bardzo przyziemny i plugawy charakter? Takie przekonanie wydaje się coraz mniej wiarygodne. Albowiem bardzo możliwe, że jako stworzenia naturalne ulegamy rzeczywistym, naturalnym siłom, których praktycznie nie rozumiemy. Zaś ponieważ jesteśmy również stworzeniami duchowymi, możemy być poddawani działaniu także wpływów nadprzyrodzonych, które pojmujemy jednocześnie w mniejszym i większym stopniu niż te pierwsze.

A zatem Schmitt w książce *Land und Meer*, którą można by uznać za jego najbardziej przełomowe dzieło, stara się prześledzić swoistą historię żywiołów, w ramach której ludzkość najpierw poddana była władzy ziemi, następnie wody, później powietrza, a wreszcie apokaliptycznego ogniaⁱⁱⁱ. Wymowa tej pracy jest mistyczno-ezoteryczna, a zarazem naturalistyczna i ekologiczna w sposób sugerujący pewne pokrewieństwo z rosyjskim eurazjanizmem, według którego kultury rozwijają się, rozkwitają i upadają pod wpływem kosmicznych sił, mających charakter mniej lub bardziej materialny, a zarazem mniej lub bardziej duchowy^{iv}.

**Schmitt przekonuje,
odwołując się do
Giambattisty Vico, że
pierwszym prawem był
podział ziemi, dokonujący
się równocześnie
z wytyczaniem terenów
grzebalnych
i zabezpieczaniem ciągłości
przypisanych do ziemi imion
zmarłych**

Jednocześnie zdaniem „późniejszego” Schmitta równie decydującą rolę odgrywać mają ludzkie, kolektywne i wybiórcze skłonności ku temu czy innemu żywiołowi, będące faktyczną siłą napędową historii. W porównaniu z właściwą „pierwszemu” Schmittowi koncentracją na zasadniczo amoralnej logice decydowania i stowa-

rzyszenia się, te parametry mają charakter mniej humanistyczny i bardziej spekulatywny (podobnie jak te przyjmowane przez późniejszego Heideggera), jednocześnie pozwalając na o wiele bardziej dociekliwe i dalekosiężne rozważania. W praktyce porzucone zostają czysto polityczne ramy.

Po dojściu Hitlera do władzy Schmitt odszedł od decyzyjizmu, obierając perspektywę właściwą ideologii „krwi i ziemi”, zgodnie z którą źródłem normatywności jest mieszanka tego, co etniczne, i tego, co terytorialne

Ramy te są zastępowanie politycznym, ekonomicznym i ekologicznym pojęciem „nomos ziemi”. W noszącej taki właśnie tytuł książce Schmitt przekonuje, odwołując się do Giambattisty Vico, że pierwszym prawem był podział ziemi, dokonujący się równocześnie z wytyczaniem terenów grzebalnych i zabezpieczaniem ciągłości przypisanych do ziemi imion zmarłych za pomocą obrzędów prawnego *con-nubium*, poręczanych przez mściwą „opatrność”^v. Mamy zatem do czynienia ze skrajnymi roszczeniami odnośnie do tego, co czysto fizyczne, co kulturowo ciągłe, co ekonomiczne, co prawno-polityczne oraz co teologiczne. Schmitt powołuje się na coś w rodzaju etnograficznie nacechowanego pojęcia *ius gentium*, pra-

wa narodów, najwyraźniej dając mu pierwszeństwo przed państwowym prawem politycznego wyjątku.

Po dojściu Hitlera do władzy Schmitt odszedł od decyzyjizmu, obierając perspektywę właściwą ideologii „krwi i ziemi”, zgodnie z którą źródłem normatywności jest mieszanka tego, co etniczne, i tego, co terytorialne. Nawet jeśli przejęcie cudzej ziemi jest samo w sobie postrzegane jako nieuzasadniony akt, jako decyzyjistyczne „cięcie” – według określenia Carla Galili – owo „cięcie” nie jest jedynym czynnikiem mającym nadawać prawomocność^{vi}. Schmitt powołuje się również (jak w powyższym nawiązaniu do Vico) na mające sankcję sakralną powiązanie określonych ludów z terytorium – która to sankcja wydaje się niejako wypływać z samej ziemi. Tak więc w ostatecznym rozrachunku prawo do ziemi wynika nie tyle z jej przejęcia (jak uważał Grocjusz), ani nie z pracy na niej (jak sądził Locke), ale z jej niewymownego nazywania^{vii}.

Takie ustalenie priorytetów wydaje się również podważać nowożytny, postwestfalski system częściowo regulowanej, międzynarodowej anarchii: obecnie to wspólne, choć już podzielone terytorium ma pierwszeństwo przed granicami etnicznymi. Schmitt rzeczywiście ma świadomość tego, że przez większość „cywilizowanych” dziejów narody uznawały jakąś władzę rozciągającą się nad znaczną częścią znanego im świata – tak było na przykład w starożytnych Chinach czy średniowiecznej Europie. Wspomina też, że nawet w relacjach między starożytnymi imperiami istotną rolę odgrywały niespisane, prawne konwencje dotyczące dyplomacji, bezpiecznego podróżowania, handlu i małżeństw mieszanych^{viii}.

Natomiast jeśli chodzi o to, co działo się w obrębie świata znanego ludziom,

między państwami bynajmniej nie panowała równowaga władzy. Europejskie *ius gentium* – jak miał świadomość Schmitt pierwszego idiomu – było pierwotnie prawem powiązaniem z katolicyzmem i prawem kanonicznym (z jego rzymskimi, stoickimi korzeniami), nie zaś prawem po prostu wspólnie ustanowionym przez narody. W ten sposób stanowiło ono część prawa naturalnego aż do czasów Suareza, który uznał wprowadzane przezeń konkretne zakazy za prawa pozytywne, ustalane we współpracy z suwerennymi państwami partnerskimi^{ix}. W europejskim średniowieczu nie istniały „państwa”, a zatem nie było też wojen „między państwami”: wiele walk toczyło się między możnymi, zaś ich stawką było coś, co postrzegano jako przywrócenie sprawiedliwości lub naprawienie występków, podczas gdy wojny prowadzone przez królów przeważnie miały charakter dynastyczny i zasadniczo chodziło w nich raczej o poszerzenie własnego terytorium niż obronę granic. Zgodnie z przyjmowaną przez Schmitta terminologią były to „wojny obwarowane ograniczeniami”^x.

Choć na tym etapie nie zakładano, że obie strony jakiegoś konfliktu mogłyby jednocześnie mieć „słuszne powody” do wojny, kościelne i rycerskie kodeksy wspólnie podtrzymywały – jak podkreśla Schmitt – świadomość istnienia *iustus hostis*, będącego kimś innym niż przestępca czy niewierny^{xi}. W odniesieniu do tych ostatnich czymś rzeczywiście sprawiedliwym miała być nawet bezlitosna walka, albowiem nie stało po ich stronie żadne *ius*, jako że nie oddawali oni żadnej sprawiedliwości prawdziwemu dobru.

Natomiast „sprawiedliwy wróg” istniał dla chrześcijan wyłącznie w obrębie samego chrześcijaństwa, gdyż skonfliktowane strony w ostatecznym rozrachunku

były winne posłuszeństwo wyższym władzom: papieżowi, a niekiedy również Świętemu Cesarzowi Rzymskiemu. Władza tego ostatniego celowo pozostawała uspio- na i z konieczności była słaba: często zaczęto ją egzekwować dopiero w przypadku skrajnego nieładu wewnętrznego lub islamskiego zagrożenia z zewnątrz. Jak wskazał Schmitt, cesarz niejako sprawował urząd wspomnianego przez św. Pawła *katechona*, mającego powstrzymać panowanie Antychrysta (2 Tes 2,6)^{xii}.

Dopiero skutek protestanckiego projektu faktycznie zrodziła się „międzynarodowa anarchia”

Można dodać, że w średniowieczu postrzegano oczyszczone, naznaczone łaską imperium na sposób Augustyński i Gelazjański: jako poddające to właściwe mu zło konieczne, którym jest brutalny przy- mus stosowany w walce ze złem, władzy prawdziwej, opartej na perswazji, kościelnej *auctoritas*^{xiii}.

Polityczne i międzynarodowe wojny w ich współczesnym rozumieniu zrodziły się dopiero wraz z wyłonieniem się suwerennych i absolutnych państw chrześcijańskich, rozpoczęciem morskich i lądowych zmagania o terytoria nowego świata, ustaniem sytuacji, gdy cesarz był uznawany za najwyższego poręczyciela ładu, a wreszcie pozbawieniem papieża roli międzynarodowego arbitra, do czego doszło wskutek pokoju westfalskiego – podczas gdy wcześniej miał on prawo dzielić Nowy Świat oraz morza między królestwa Hiszpani i Portugalii.

Tak więc w *Nomosie ziemi* Schmitt koncentruje się przede wszystkim nie na granicach poszczególnych państw, lecz na granicach kontynentalnej Europy jako przestrzeni panowania prawa, przeciwstawiając go obcości i pustce wszystkich innych ziem (tak jak jest to widziane z europejskiej perspektywy). Ponadto bynajmniej nie uznaje on terytorium państwa narodowego za w pełni uświęcone. Również ono podlega otwarciu formułowanym roszczeniom związanym z brutalnym przejmowaniem i ekspansją, mającym nadawać mu autentyczną „nazwę”^{xiv}. W rzeczy samej, cały charakter tego procesu wydaje się aż nazbyt decyzyjny. Jego i tak polityczno-ekonomiczny charakter pozostaje nierozdzielnie powiązany z nieuniknieniem podejrzanym wybieganiem ku tej anarchicznej przestrzeni, którą jest morze.

Można też zauważyć, że tego typu ekspansja jest według Schmitta niewystarczająco polityczna w tym sensie, że dokonuje się ona bez określonego wroga – dla Schmitta polityka jako taka jest bowiem oczywiście wyznaczana przez rozróżnienie przyjaciół/wróg. Podobnie jak pierwotną przestrzenią polityczną i prawną Europy był dla niego cały kontynent, tak też pierwotnym i podstawowym wrogiem nie było jakieś państwo, ale cały obszar cywilizacyjny, mianowicie islam^{xv}. Przede wszystkim właśnie jego miał „powstrzymać” Święty Cesarz Rzymski aż do dnia sądu. W rzeczy samej, Schmitt pierwszego idiomu zawsze wiązał kwestię faktycznej i fundamentalnej wrogości z teologiczną łaską i wybraniem: takie podejście niejako oddziela rozróżnienie przyjaciół/wróg od decyzyjizmu, przynajmniej na poziomie czysto ludzkim. Wydaje się stąd wynikać (choć sam Schmitt tego wprost nie stwierdza), że w pewnym sensie no-

wożytny wróg państwa jest wrogiem raczej zsekularyzowanym, a zatem nienaturalnym, i że wszelka rywalizacja między narodami niejako nosi charakter zwykłej konkurencji i pogmatwanych konfliktów, jakie rozrywają się między gangami rabusiów i piratami.

Schmitt: „międzynarodowy trybunał, który byłby niezależny, tzn. nie byłby związany politycznymi instrukcjami, lecz kierowałby się jedynie zasadami prawa, byłby zdecydowanie najbliższe idei sprawiedliwości”

W tym kontekście Schmitt na poły pochwała hiszpański podbój Ameryki Południowej jako transformacyjny. Zostaje on ukazany jako w istocie rozszerzenie lądowej przestrzeni europejskiego *nomosu* pod auspicjami papieża. Schmitt przeciwstawia ten proces późniejszemu, anglosaskiemu i protestanckiemu podbojowi Ameryki Północnej, postrzeganemu przez niego jako dostosowujący się do pustki cechującej stopniowo zajmowaną przestrzeń: przestrzeń podobną do morza, jeśli chodzi o jej wyjęty spod prawa, płynny i zmienny charakter. Przede wszystkim to właśnie morskie i kolonialne przedsięwzięcie ostatecznie naruszy i skazi autentycznie nomiczną przestrzeń europejskiej masy lądowej.

Dopiero wskutek protestanckiego projektu faktycznie zrodziła się „międzyna-

rodowa anarchia^{xvi}. Oznaczało to również albo wzmocnienie roli *iustus hostis*, tak jak było to w Hobbesowskim „realizmie”, albo jej zupełne porzucenie, tak jak czynił to od czasów Kanta „liberalizm”. Już u Grocjusza możemy natrafić na wahania odnośnie do tego, czy w wojnie *iustus causis* może być tylko po jednej ze stron, czy też obie strony mogą toczyć wojnę sprawiedliwą jeśli chodzi nie tylko o wykorzystywane w niej środki, ale nawet o przyczyny jej wybuchu, pod warunkiem że obie dysponują realną, suwerenną władzą i zadeklarowały swe zamiary zgodnie z odpowiednimi procedurami. Od czasów Grocjusza idea „słusznego powodu” była w tym względzie coraz bardziej redukowana formalnie^{xvii}.

**Niemożliwe jest
niezwrócenie uwagi na
Schmittowską Ostpolitik,
przedkładającą rosyjskiego
„Behemota”, imperialne
zwierzę lądowe, ponad
angielskiego Lewiatana**

Jednak u Kanta natrafiamy na koncepcję, że prowadzące handel narody – podobnie do podmiotów handlujących ze sobą w obrębie jednego państwa – będą dążyć do zrównoważenia nawzajem swoich sił i ustanowienia dogodnego pokoju, w swej istocie mającego charakter ekonomiczny. Kant przewiduje też, że – podobnie jak jest to w państwie – również na poziomie międzynarodowym wyłoni się korpus praw, w praktyce reagujący

na naruszenia własności w relacjach międzypaństwowych. Lecz filozof nie zakłada powstania jakiegoś światowego rządu, albowiem jest przekonany, że istnienie wielu narodów stanowi niejako ponadnarodowy odpowiednik podziału władz w obrębie państwa oraz jest zaporą przeciwko tyranii. Niemniej ponieważ według Kanta wojny mogą być rozstrzygane w oparciu o prawo moralne, wykraczające poza prawo suwerennych państw, oznacza to, że w ogólnie nie może już istnieć ktoś taki jak „sprawiedliwy wróg”: jeśli kogoś słusznie uznaje się za wroga, to jest on międzynarodowym przestępcą, czy też – jak powinniśmy powiedzieć dzisiaj – „terrorystą”^{xviii}.

Jak wskazał Schmitt w *Nomosie ziemi*, gdy pojmuje się prawo jako nie tylko mające pierwszeństwo względem wszelkiego egzekwowania suwerenności, ale wręcz zupełnie od niego niezależne, wówczas ignoruje się fakt, że owo prawo stanowi bezsilną fikcję, jeśli wprost nie uzyska politycznej autoryzacji i nie zostanie zinterpretowane poprzez aplikację do konkretnych przypadków^{xix}. A zatem nowożytny porządek międzynarodowy pozostaje zależny od wciąż zmieniających się relacji między wzajemnie uzgodnionymi, pragmatycznymi i zasadniczo ekonomicznymi normami oraz stałym kontestowaniem tych norm, niekiedy przybierającym postać (rzekomo) regulowanej przemocy.

Jednakże wychodząc już poza myśl Schmitta, można by wskazać, że zarówno realistyczne, nadmierne podkreślanie koncepcji sprawiedliwego wroga, jak i liberalne porzucenie tej idei znoszą właściwe średniowieczu poczucie, iż wojna – choć pozostaje czymś godnym pożałowania – stanowi w pewnym sensie honorowe uznanie ograniczeń ludzkiego rozumu w dochodzeniu do sprawiedliwego konsensusu.

Zgodnie z tym podejściem wróg może nie mieć racji, może nawet naruszać prawo, lecz wciąż nie mieści się w kategorii osób postrzeganych przez wszystkich jako pospolic przestępcy. Barokowy realizm podtrzymywał to stanowisko, ale zarazem strywalizował wojnę oraz oddzielił honor od cnoty: uczestnicy walki po prostu angażują się we współzawodnictwo będące zaledwie krwawym przedłużeniem rywalizacji rynkowej, która na nowo uczyniła *agon* czymś normatywnym. Ironią losu jest to, że z oświeceniowym liberalizmem z kolei wiązało się zagrożenie, iż wojna zacznie być uznawana za pozbawioną hamulców walkę z wyjątkowo odrażającym przestępcą, będącym wrogiem wręcz cywilizacji jako takiej: tak więc już w tym horyzoncie mieści się międzynarodowa wojna z terroryzmem.

Niemniej rodzi się pytanie o to, czy Schmitt rzeczywiście traktował nowożytną, Hobbesowską sytuację jako normatywną, czy też – jako katolik i zwolennik pierwszego idiomu – na poły tęsknił za średniowieczną normą *ius gentium*, której egzekwowanie podlegało kontroli ze strony papieża i cesarza i która panowała na podstawowym terytorium, czyli europejskim oraz chrześcijańskim kontynencie. Czy faktycznie uważał, że średniowiecze nie było w stanie wytworzyć żadnej trwałej jedności w imię nieodmiennie sprawiedliwego porządku kosmicznego (jak kiedyś wprost stwierdził), czy też może po części żałował, iż przedsięwzięcie to przeminęło wraz z właściwym sobie przekonaniem o istnieniu pewnej wrodzonej światu i niedowolnej godziwości?

Wydaje się, że Schmitt rzeczywiście tego żałował, gdyż w swym pierwszym idiomie wcześniej zaczął kojarzyć katolicyzm z internacjonalistycznym charakterem sprawiedliwości, powiązany nie

tylko z koncepcją prawa naturalnego, ale również z reprezentacją osoby Chrystusa. Ponadto zadeklarował, że „międzynarodowy trybunał, który byłby niezależny, tzn. nie byłby związany politycznymi instrukcjami, lecz kierowałyby się jedynie zasadami prawa, byłby zdecydowanie najbliższej idei sprawiedliwości” – czyli sprawiedliwości jako takiej^{xx}. Jeśli mamy tu do czynienia z „wyjątkowością”, to wydaje się ona odnosić do wrodzonej sprawiedliwości, a nie do wolnej woli, i znajduje ona wyraz w odpowiedzialnym byciu osobą, a nie osobistej samowoli^{xxi}.

Teoretycy eurazjanizmu – a za nimi również Władimir Putin – sprowadzają prawosławne chrześcijaństwo do roli etnicznego, ludowego światopoglądu

W przypadku pracy Łąd i morze mogłoby się wydawać, że zdaniem Schmitta kalwinistyczny porządek imperialny, mający morski i handlowy charakter, zniekształca normatywność rozgrywających się na lądzie, wzajemnie wyniszczających konfliktów między państwami. I rzeczywiście, taka jest podstawowa wymowa zarówno tej książki, jak i publikacji *Nomos ziemi*, która powstała po części w celu zakwestionowania prawomocności procesów norymberskich oraz tego, co Schmitt uznawał za właściwe tym procesom, absolutystyczne roszczenie sobie pierwszeństwa przed najwyższą władzą państwową. Jego zdaniem procesy te po prostu przy-

pieczętowały zakłócenie nowożytnego, lądowego porządku, samo w sobie będące przyczyną nadmiernie rozszalałego konfliktu. Sądził więc, że wtargnięcie „morskiego” ładu do Europy kontynentalnej doprowadziło do wybuchu zarówno wojny trzydziestoletniej, jak i obu wojen światowych – jednocześnie Schmitt w każdym z tych przypadków w nieuzasadniony sposób zdejmował wszelką winę ze wschodniemieckiego protestantyzmu z jego własną skłonnością do ekspansji^{xxii}. Niemniej Schmitt sugeruje również, że panująca obecnie równowaga sił i quasi-imperialna dominacja wielkich mocarstw powinny w imię pokoju uzyskać coś w rodzaju międzynarodowego uznania prawnego. Ponadto wspomina on o nowej, nadrzędnej, międzynarodowej zdolności panowania nad powietrzem i ogniem, którą Wielkie Niemcy mogłyby się posłużyć do przewyciężenia właściwego Anglosom panowania nad żywiołem wody^{xxiii}.

By posłużyć się lepiej znanymi kategoriami historycznymi, Schmitt mimo wszystko przeciwstawia sobie imperium ziemi oraz imperium morza, tak jak przeciwstawia sobie lądowe państwa narodowe i panujące nad wodami mocarstwa. Tutaj właśnie jego realistyczne pojmowanie wyjątku ulega nazistowskiemu atawizmowi ziemi z jego przekonaniem o prawomocności przejmowania terytoriów w imię Landesraum czy też imperialistycznego „wylewania się” narodu poza swe podstawowe granice. Schmitt przyznaje, że od początku dziejów istnieli „morscy ludzie”, żyjący na przykład na Pacyfiku – nie traktuje ich on jednak jako dysponujących pełnią człowieczeństwa, gdyż naruszyli oni rzekomo naturalny ludzki związek z rodzimą ziemią, które to wypaczenie miało zostać później powtórzone na skalę globalną przez Żydów i Anglosasów^{xxiv}.

W tym kontekście niemożliwe jest niezwrócenie uwagi na Schmittowską Ostpolitik, przedkładającą rosyjskiego „Behemota”, imperialne zwierzę lądowe, ponad angielskiego Lewiatana, który przecież – niczym Melville’owski Moby Dick – nie uznaje żadnych suwerennych granic, będąc raczej bezkresnym „anty-terytorium”, na którym grasują korsarze. Według Schmitta Hitler popełnił błąd, zrywając sojusz ze Stalinem i rozpoczynając wojnę z Rosją^{xxv}. Mimo całego narzekania Schmitta na wzrost ideologicznej stronniczości i nowożytny rozwój idei absolutnego wroga,

**Rosyjski imperializm,
rzekomo pluralistyczny,
w rzeczywistości często jest
przykrywką dla
ekspansywnego
nacjonalizmu rosyjskiego**

jasno widać, że anglosaski najemnik, prowadzący wolny handel – podobnie jak żydowski kupiec – jest dla niego faktycznym wrogiem absolutnym, albowiem pozostaje on wrogiem ludzkości jako takiej.

Wydaje się więc, że Schmitt preferowałby eurazjanizm jako ideologię ładu i że nie jest tak bardzo odległy od późniejszych rosyjskich teoretyków w rodzaju Gumilowa, Panarina i Dugina, którzy ujmują człowieka w jego bezpośrednim ekologicznym otoczeniu, współkształtującym zachowanie konkretnego etnosu w sposób niedający się łatwo przełożyć na kategorie uniwersalne, i którzy potępiają „chimeryczne” grupy etniczne, takie jak Żydzi czy Kazachowie (pierwotnie zresztą będący

wyznawcami judaizmu), oraz rozmaite gnostyczne, odrzucające świat kultury^{xxvi}. Można tu zwrócić uwagę, że teoretycy eurazjanizmu – a za nimi również Władimir Putin – sprowadzają prawosławne chrześcijaństwo do roli etnicznego, ludowego światopoglądu oraz uznają to zmieszanie religii i polityki, do jakiego dochodzi w islamie, za łatwiejsze do akceptacji przez Rosjan niż rozdzielanie tych dwóch sfer, z jakim mamy do czynienia choćby w judaizmie czy łacińskim katolicyzmie.

Zarówno Schmitt, jak i rosyjscy teoretycy nie uwzględniają możliwości, że wszyscy pozostajemy zjednoczeni w miłości braterskiej pod pewnym transcendentnym parasolem

W każdym razie trudno się tu dopatrzeć śladów jakiegokolwiek katolickiego, uniwersalizującego personalizmu. Rosyjskie podejście, podobnie jak jest to w przypadku myśli Schmitta, pośrednio rodzi pytania – nierozwiązywalne w oparciu o kategorie przyjęte przez samego Schmitta – o to, w jaki sposób rozmaite grupy etniczne mają się wpisywać w bardziej ogólny, etniczny porządek imperialny, oraz o to, na ile możliwy jest w takiej sytuacji pluralizm (lub liberalny wybór na poziomie grupowym), a na ile konieczna jest obecność jednego, dominującego etnosu, jednej rasy panów, czy to niemieckiej, czy to rosyjskiej, czy obu naraz^{xxvii}.

Rosyjski imperializm, rzekomo pluralistyczny, w rzeczywistości często jest przykrywką dla ekspansywnego nacjonalizmu rosyjskiego^{xxviii}.

Na poziomie bardziej ogólnym można podważyć przekonanie o „niewinności” ziemi i „występności” wody – ta ostatnia przecież jest w sakramentach traktowana jako niosąca oczyszczenie. Także ciągłość terytorialna bynajmniej nie zapewnia rantunku przed przemocą, choć Schmitt próbuje wychwalać wojny narodowe jako rzekomo mające ograniczony charakter, zaś Gumilow i Dugin umniejszają znaczenie międzyetnicznych konfliktów i skłonności do dominacji, właściwej etnicznym Rosjanom w przeszłości^{xxix}. Pod wieloma względami dość przypadkowy rozwój rosyjskiego imperium, dokonujący się wskutek politycznej konsolidacji przedsięwzięć handlowych, nie odbiegał specjalnie od sposobu wyłaniania się brytyjskiego imperium w Indiach, choć to ostatnie sięgało daleko za oceany^{xxx}.

Niemniej powinno się chyba wskazać, że taki myśliciel, jak reprezentujący lewicę Karl Polanyi, również łączył fakt wyłonięcia się kapitalizmu z bezkresnością morza oraz wewnętrznym wywłaszczeniem chłopstwa – zarazem jednak zdawał sobie sprawę z tego, że umożliwienie dostępu do otwartej przestrzeni (ujmowanej w sensie estetycznym, politycznym czy kosmicznym) może pozwalać na bardziej swobodne i świadome relacje oraz spotkania między ludźmi i narodami, nie musząc oznaczać sprawowania abstrakcyjnej kontroli na odległość^{xxxi}. W rzeczy samej, na najwcześniejszych etapach dziejów tym, co dzieliło ludzi od siebie, były nieprzebyte lasy, podczas gdy morze umożliwiało nawiązywanie połączeń i uporządkowaną wymianę kulturową. Na późniejszych etapach historycznych morskie im-

peria w rodzaju brytyjskiego czy francuskiego były niekiedy w stanie lepiej niż imperia lądowe zapewniać wzajemnie korzystne kontakty między skrajnie odmiennymi kulturami. Zaś imperia lądowe bynajmniej nie zawsze powstrzymywały się od bezpośredniego egzekwowania swej hegemonii, na jakie pozwalała im ciągłość terytorialna.

**Nowożytny dualizm ducha
i materii, tego, co sztuczne,
i tego, co naturalne,
zdecydowanie nie odszedł
w niepamięć**

Przed wszystkim zaś prawdą jest paradoks, zgodnie z którym – tak jak jest to w przypadku niepisanego prawa gościnności – wspaniałomyślność praktykuje się głównie między przyjaciółmi, a jednak to właśnie ona jest naszą jedyną deską ratunku w kontaktach z ludźmi całkowicie nam obcymi kulturowo. Handlowe wody obojętności płyną gdzieś między tymi biegunami, w rejonie ostatecznie morderczej grzeczności. Jednakże rejon ten równie dobrze może zajmować przestrzeń jednej ulicy, co rozciągać się między oceanami.

Koniec końców uderzający jest fakt, że zarówno Schmitt, jak i rosyjscy teoretycy nie uwzględniają możliwości, że wszyscy pozostajemy zjednoczeni w miłości braterskiej pod pewnym transcendentnym parasolem, wykraczającym poza przeciwstawienie pustego i post-ludzkiego uniwersalizmu oraz takiego przywiązania do ziemi, które ostatecznie pogrąża nas w stanie niejako przedludzkim.

Tą właśnie możliwością chciałbym się teraz zająć.

II

Choć ich stanowisko ma w ostatecznym rozrachunku mroczny charakter, niemożliwe wydaje się zignorowanie nowych, w swej istocie postmodernistycznych i postsekularnych prób podjętych przez Schmitta i zwolenników eurazjanizmu, by w większym stopniu uwzględnić cokolwiek nieuchwytny wpływ natury i ducha na ludzką integralność i ludzkie przemiany^{xxxii}. Obecnie znaleźliśmy się w globalnym kryzysie, postrzeganym jako kwestia polityki, nauki, ekologii i ekonomii. Jednak w rzeczywistości jest to kryzys duchowy. Nie oznacza to, że powinniśmy porzucić sferę polityczną na rzecz kulturalnej czy jeszcze bardziej zamknąć się w samych sobie. Tym natomiast, czego potrzebujemy, jest nowa, duchowa polityka.

Jeden z aspektów tego kryzysu ewidentnie dotyczy naszej relacji ze światem naturalnym. Niemniej mamy skłonność do ujmowania tego aspektu jako zupełnie odrębnego od innych, nie zaś jako nierozdzielnie związanego z problemem politycznego podziału, z którym równocześnie się mierzymy: podziału między demokracją liberalną a autorytaryzmem (populistycznym lub innym).

Tymczasem powinno być wręcz przeciwnie: od czasów Hobbesa i innych myślicieli nasza nowożytna idea polityki jest nieodłącznie związana z określoną postawą względem natury. Traktujemy świat naturalny jako coś przeciwstawnego względem nas: coś będącego groźną, wszechobecną siłą, którą jednak można poskromić i wykorzystywać jako niewyczerpywalny zasób dóbr. Zarazem zdajemy sobie sprawę z faktu, że jako cielesne zwierzęta jesteśmy tego świata częścią. Jednak również tę przynależność uznajemy za coś zasadniczo

negatywnego: za źródło naszych niedostatków oraz naszej lęklivosti i ignorancji. Ponadto uważamy, że w naszym przypadku, ze względu na ludzką skłonność do wzajemnej rywalizacji, wszystkie te rzekomo naturalne skłonności ulegają jeszcze większemu spotęgowaniu.

Jedyną drogą ucieczki wydaje się to, co sztuczne. Obcy nam świat należy poznać poprzez korzystanie z rozumu i prowadzenie eksperymentów. To, co sprawdza się w przypadku nauki, uznajemy za odpowiednie również w przypadku polityki, postrzeganej obecnie jako zasadniczo technologia społeczna. W imię poczucia pewności i bezpieczeństwa wszelka władza polityczna ma pochodzić z jednego źródła, mającego monopol na przemoc. To, jak należy konstytucjonalnie osiągać i podtrzymywać ową „suwerenność”, można ujmować na rozmaite sposoby: autorytarny, oligarchiczny czy demokratyczny. Niemniej z określonej perspektywy te rozbieżności nie mają większego znaczenia. Liczy się to, że politykę, ekonomię polityczną i publiczną technologię uznajemy za sposoby pragmatycznego sprawowania kontroli nad pozbawioną sensu naturą – w tym nad naszymi własnymi, również pozbawionymi sensu ciałami oraz instynktami.

Nie jest zaskakujące, że przyjęcie takiego światopoglądu w końcu doprowadziło do sytuacji sprawiającej wrażenie ostatecznego, apokaliptycznego kryzysu: czasu ognia. Natura jest pustoszona, a nasze ciała w coraz większym stopniu są schorowane, zniekształcone, opuchnięte, dręczone i barbarzyńsko tatuowane – tak jakbyśmy wszyscy byli współplemieńcami niemającymi plemienia, indywidualistycznie poszukującymi własnej grupy.

W obliczu katastrofy ekologicznej liberalni demokraci proponują utworzenie

rozmaitych odmian globalnego „Lewiatana”, czyli suwerennego rządu światowego, który sprawowałby władzę w imię dominacji naukowej, cechując się większymi kwalifikacjami i większą ostrożnością: byłby to kolejny potwór morski, mający trzymać w szachu chińskiego „Behemota” – przy czym Behemot ten jest zastanawiająco do Lewiatana podobny, być może ze względu na fakt, że wieloryb nie jest wszak prawdziwą rybą, ale ssakiem oddychającym powietrzem atmosferycznym (na co zwrócił uwagę Schmitt, dostrzegając również tego wydzźwięk symboliczny). Temu stanowisku coraz mocniej

**Ekologiczny bałagan,
w jakim się znaleźliśmy,
bynajmniej nie powstał
przypadkowo. Stanowi on
bezpośredni skutek naszego
sposobu gospodarowania,
polegającego na
przejmowaniu naturalnych
i ludzkich zasobów,
wykorzystywaniu ziemi jak
dzierżawy i czerpaniu
korzyści z ludzkich ciał**

przeciwstawiają się populisci o zacięciu autorytarnym, wciąż przywiązani do państwa narodowego (czyli suwerenności związanej z konkretnym miejscem) i skłonni umniejszać wagę zagrożenia związanego z załamaniem się świata fizycznego. Populisci wydają się też preferować nacjo-

nalizm kulturowy lub etnicystyczny (czy też imperializm narodowy), opierający się na definitywności rozróżnienia przyjaciela/wróg. Ten atawizm jest słusznie potępiany przez liberałów, lecz nie wydaje się, by właściwy populistom lęk przed jeszcze bardziej skrajną inżynierią społeczną, realizowaną w obliczu kryzysu naturalnego przez jakąś jedną lub – co gorsza – konkurencyjną potęgę globalną, był całkiem pozbawiony podstaw^{xxxiii}.

Standardowe propozycje liberalno-demokratyczne, zalecające zaledwie skonsolidowanie i modyfikację tych teoretyczno-praktycznych idiomów właściwych naszej kulturze, są w stanie rozwiązać ekologiczne problemy jedynie za cenę zaprowadzenia tyranii

W każdym razie nowożytny dualizm ducha i materii, tego, co sztuczne, i tego, co naturalne, zdecydowanie nie odszedł w niepamięć – zaledwie uległ on mutacji. Albo potępia się fakt zaniedbywania przez nas natury, postrzeganej jako pewna samowystarczalna całość, do której musimy się instrumentalnie dopasować; albo na nowo celebrować się w jakimś zawsze konkretnym idiomie (niekiedy pod religijną przykrywką) wojowniczy triumf ludzkiego ducha.

Alternatywą jest to, by chrześcijaństwo – we współpracy z innymi autentycznymi tradycjami wiary – podkreślało, że problemem jest właśnie ten dualizm wraz z opierającą się na nim polityką.

Ironią losu jest fakt, że źle korzystamy z natury po prostu dlatego, iż nie pojmujemy, na czym w najgłębszym sensie polega wyższość ducha nad naturą. Impulsy kryjące się w samej naturze mają charakter duchowy: są one twórczymi siłami, w tajemniczy sposób skłonnymi przyjmować określone, stałe formy – tak od zawsze uczyła zasadniczo Augustyńska tradycja „francuskiego spirytualizmu” (od Maine’a de Birana po Henri’ego Bergsona i Maurice’a Blondela)^{xxxiv}. Powierzchnie nasza relacja z tymi siłami opiera się na naszej zewnętrznej umiejętności manipulowania nimi, lecz w bardziej dogłębny i bezpośredni sposób jesteśmy z nimi związani dzięki tym naszym władzom wewnętrznym, którymi są odczuwanie i wyobraźnia – zdają sobie z tego sprawę zwolennicy zarówno spirytualizmu, jak i na pozór całkowicie odmiennej, post-purytańskiej tradycji amerykańskiego transcendentalizmu (której dał początek Ralph Waldo Emerson)^{xxxv}. Z punktu widzenia tych tradycji z naturą, której jesteśmy częścią, wiąże się przede wszystkim pytanie nie o to, jak można ją poskromić i wykorzystać, ale o to, jak można ją doprowadzić do pełni piękna – a zatem również prawdy i dobra – czego ma dokonać duch ludzki dzięki stowarzyszeniu się ludzi ze sobą nawzajem i ich złączeniu się ze swym otoczeniem. Realizacji tego właśnie teleologicznego celu, jakim jest „integralna ekologia”, domaga się dziś papież Franciszek. Jeśli się nie nawrócimy, nie zejdziemy ze złej drogi i nie będziemy dążyć do tego celu, z pewnością dojdzie do naszej zguby. Albowiem ekologiczny ba-

łagan, w jakim się znaleźliśmy, bynajmniej nie powstał przypadkowo. Stanowi on bezpośredni skutek naszego sposobu gospodarowania, polegającego na przejmowaniu naturalnych i ludzkich zasobów, wykorzystywaniu ziemi jak dzierżawy i czerpaniu korzyści z ludzkich ciał. W równym stopniu wynika on też z naszego sposobu uprawiania polityki jako sprawowania metodycznej kontroli, pozbawionej jednak jakiegokolwiek celu ostatecznego. Zaś może ponad wszystko ma on swoje źródło w przyjętym przez nas fałszywym założeniu, że najgłębszej prawdy o naturze dostarcza taka „nauka”, która posługuje się tylko powierzchownym opisem, abstrahowaniem i systematyczną manipulacją. Właśnie w oparciu o to założenie jesteśmy obecnie gotowi podjąć próbę unieważnienia istoty nawet płci i samego człowieczeństwa, ulegając nakazom również człowieczej, lecz anarchistycznej, indywidualistycznej i nominalistycznej woli dokonywania tych przemian w imię władzy^{xxxvi}.

Standardowe propozycje liberalno-demokratyczne, zalecające zaledwie skonsolidowanie i modyfikację tych teoretyczno-praktycznych idiomów właściwych naszej kulturze, są w stanie rozwiązać ekologiczne problemy jedynie za cenę zaprowadzenia tyranii. Co więcej, jeśli bardziej umiarkowane stanowisko względem naszego fizycznego otoczenia zostanie przyjęte wyłącznie jako środek doraźny, możliwy do odrzucenia w sytuacji, gdy będą tego wymagać korzyści ekonomiczne lub potrzeba zachowania kontroli politycznej, gdzieś w przyszłości zrodzą się kolejne kryzysy środowiskowe. To właśnie ziarno prawdy kryje się w instynktownie żywionych przez populistów podejrzaniach (popieranych przez Giorgio Agambena), że – kolejno – terroryzm, kryzys finansowy,

pandemia Covid i niedobory żywności są wykorzystywane jako Schmittowskie stany wyjątkowe, pozwalające „Lewiatanowi” lub „Behemotowi” coraz bardziej rozciągać swoje panowanie nad podporządkowaną im ludnością za pomocą wciąż nasilającej się inwigilacji, robotyki i digitalizacji.

Należy położyć kres sytuacji, w której cała suwerenność przysługuje tylko państwu. Od poziomu wioski do poziomu całej planety musimy odtworzyć złożoną sieć wspólnot i korporacji, które wzajemnie wymieniają się darami

Taką możliwość można dopuścić nawet wówczas, gdy nie wierzy się w „spiskowe teorie”. Albowiem od samego początku nowożytna koncepcja istnienia jednej suwerennej władzy panującej nad masą odizolowanych od siebie jednostek, które łączą się ze sobą tylko przypadkowo, bazowała na idei naturalnego stanu wyjątkowego, odnawiającego się w obliczu załamania jedności kulturowej (tak jak stało się to w wyniku europejskiej reformacji). Tego typu zagrożenie musi być podtrzymywane, jeśli podtrzymywana ma być również sama suwerenność. Zaś w sytuacji zagrożenia suwerenności można stan wyjątkowy albo sztucznie wytworzyć, albo wyolbrzymić jakiś realnie istniejący.

Jednakże rozwiązaniem nie jest tu właściwe populistom ani historyczne, czę-

ściowe pojmowanie tej prawdy, ani ich ucieczka w suwerenne państwa narodowe, które nie są w stanie poradzić sobie z niszczeniem natury nieznaną granic państwowych – tak samo jak nie potrafią przeciwdziałać nieograniczonym przepływom finansów, kapitału i ludzi, niweczącym obecnie wszelkie próby urzeczywistnienia sprawiedliwości społecznej w jakimś jednym kraju. Pojedyncze państwa nie mogą też odpowiednio reagować na przemianę kapitalizmu w neo-feudalizm, czerpiący korzyści z czynszów narzucanych na wyeksploatowaną ziemię, z „wektoralnej” kontroli informacji oraz z finansowych spekulacji zamiast z produkcji stale znajdującej się obecnie w kryzysie opłacalności, jaki przewidział Marks^{xxxvii}. Wszystko to jest zagrożeniem dla coraz bardziej spacyfikowanych i coraz częściej bezdomnych i pozbawionych pracy ludzi (należących już do klasy nie tylko robotniczej, ale też średniej), skazanych na miłą tyranie, w ramach której rozrywki są smutne a przyjemności uciążliwe i która w ostatecznym rozrachunku jest kontrolowana przez najbogatszych oraz ich pomagierów-profesjonalistów, w tym przez większość przedstawicieli życia uniwersyteckiego.

Zobaczyliśmy już, dlaczego odpowiedzi na aktualne problemy nie może zapewnić również przestarzały materializm (roszczący sobie jednak prawa do „nowości”) przyjmowany przez liberałów i większość lewicy. Cały nasz naturalno-polityczny kryzys zakorzeniony jest w dwojakiej negacji: negacji tego, że natura ma charakter duchowy, oraz tego, że w ostatecznym rozrachunku duch ludzki w duchowy sposób panuje nad naturą (co stanowi przeciwieństwo okrutnej dominacji nad nią w oparciu o ludzką wiedzę niemającą podparcia ze strony mądrości). Zamiast

tego potrzebujemy politycznego powrotu do naturalnego porządku, jaki zawsze głosiła katolicka nauka społeczna.

Należy położyć kres sytuacji, w której cała suwerenność przysługuje tylko państwu. Od poziomu wioski do poziomu całej planety musimy odtworzyć złożoną sieć wspólnot i korporacji, które wzajemnie wymieniają się darami oraz naturalnie i tradycyjnie dążą do cnót i celów ze swej istoty dobrych – w oparciu o te podstawy będziemy w stanie ukształtować porządek autentyczny i stosunkowo bardziej pokojowy.

**Powstała pseudo-bramińska
klasa naukowych
technokratów, kierujących
działalnością pseudo-
kszatrijskiej klasy polityków
pozbawionych honoru,
którzy całkowicie
podporządkowali sobie
wszystkich innych ludzi.
Ocalić nas może jedynie
duchowa rewolucja**

Przedsięwzięcie to wymagać będzie rozproszonej, demokratycznej akceptacji oraz rozmaitego współdziałania poszczególnych jednostek. Zarazem jednak potrzebne do niego będzie (jak kiedyś słusznie zauważył René Guenon) zaprowadzenie panowania ducha, które zastąpiłoby panowanie techników zajmujących się materią – pod tym względem powinniśmy

powiedzieć, że Aleksander Dugin ma rację^{xxxviii}. Kluczową i uprzywilejowaną rolę należy w tym procesie przyznać ludziom najmądrzejszym, najlepiej rozeznającym duchowe cele i zdolnym do teleologicznego kierowania ku tym celom zarówno natury, jak i kultury (w imię bardziej godziwego i personalistycznego pojmowania „wyjątku”). Ich rady muszą być przedstawiane ogółowi, a następnie cnotliwi i mądrzy pod względem politycznym ludzie – niczym autentyczni „reprezentanci” przypominający wojowników i władców – powinni inicjować przekładanie zaakceptowanych zaleceń na taką praktykę, w której wszyscy byliby w stanie uczestniczyć.

Bez takich clerisy („uczonych o nastawieniu duchowym”; termin ten wprowadził Samuel Taylor Coleridge) oraz integralnego ukierunkowywania tego, co świeckie, ku temu, co religijne, władza przechodzi w ręce szarlatanów, egoistów i spekulantów, co skutkuje ogromnym zagrożeniem dla natury i próbą wyczerpania wszystkich jej zasobów. Owo całkowite wykorzystanie ich jest niemożliwe, ale zasoby te mogą na nowo obrócić się ku ludzkiemu pożytkowi dopiero wówczas, gdy uznamy, że zarówno czerpanie z nich, jak i ich wypełnienie dokonuje się dzięki duchowej kreatywności, wspólnotowości i kontemplacji. Również pod tym względem Guénon i Dugin wydają się mieć rację: odejście od tradycyjnych „majątków” od czasów rewolucji francuskiej na rzecz „państwa” panującego nad wyizolowanymi jednostkami okazało się nieporozumieniem, albowiem w rzeczywistości (jak przewidział i zalecał Auguste Comte) powstała pseudo-bramińska klasa naukowych technokratów, kierujących działalnością pseudo-kszatrijskiej klasy polityków pozbawionych honoru, którzy całkowicie podporządkowali sobie wszystkich innych

ludzi, obecnie całkowicie oderwanych od inspiracji płynącej z ziemi (lub z wody!) i pozbawionych tego spełnienia, jakim jest twórcza praca.

Ocalić nas może jedynie duchowa rewolucja. Oznacza ona jednak również faktyczną, społeczną, ekonomiczną i polityczną transformację, zmierzającą w kierunku czegoś przypominającego bardziej demokratyczną odmianę społeczeństwa opierającego się na majątkach ziemskich, w której sprawowanie każdej z funkcji – kontemplacji, panowania lub pracy – spotyka się z większym szacunkiem i wynagrodzeniem oraz w której te trzy sfery bardziej płynnie przechodzą w siebie nawzajem i wzajemnie na siebie oddziałują. Jeśli chodzi o przedsięwzięcia finansowe i handlowe, ich rola musi zostać zminimalizowana oraz na nowo wpisana w rzeczywiste teleologiczne zadania.

Oprócz tego potrzebujemy poczucia równowagi, „wzajemnej ochrony” w globalnych przepływach dóbr i ludzi (inaczej niż zakładają to zarówno liberalni globaliści, jak i nacjonaliści), przyznając w ten sposób, że od zawsze byliśmy i wiewiórkami, i rybami, i nomadami ze stepów, i mieszkańcami lasów – co teoretycy eurasjanizmu są zmuszeni z hipokryzją ignorować.

Takie podejście stanowi dokładne przeciwieństwo iluzji obecnie przyjmowanych w Wielkiej Brytanii (przynajmniej do ostatniego czasu, gdy Liz Truss w tym względzie zdecydowanie przesadziła), głoszących powrót do idei pełnego piratów morza zupełnie nieuregulowanego, liberalnego handlu. Lecz zarazem jest ono dokładnym przeciwieństwem iluzji aktualnie wcielanych w życie w Niemczech, zgodnie z którymi należy poszerzać postdemokratyczne, prawno-handlowe terytorium lądowe, czyniąc tak z czysto prag-

matycznych powodów oraz w imię Habermasowskiego przekonania, że żyjemy w epoce „postheroicznej”, kiedy to walka militarna jest czymś niewyobrażalnym – proszę to powiedzieć Ukraińcom! Jak już wiemy, taki zadufany w sobie, udawany pacyfizm okazuje się zaledwie przedłużeniem dawnej teutońskiej dominacji militarnej, realizowanej obecnie za pomocą nowych, ekonomicznych środków; potencjalnie prowadzi on też do kapitulacji wobec tyranii oraz faktycznego szantażu militarne.

Powinniśmy także wystrzegać się skłonności do ignorowania jakościowej różnicy między holokaustem (oraz w pewnym stopniu także wojennymi okrucieństwami dokonywanymi w gułagach oraz przez Japończyków) a wszystkimi innymi, licznymi potwornościami z ludzkich dziejów. Tendencja taka może zrodzić się w sytuacji, gdy nazizm zaczyna się postrzegać jako przede wszystkim lądowe i wewnętrzne przedłużenie europejskiego kolonializmu zamorskiego, choć w rzeczywistości naziści z pogardą patrzyli na liberalny humanitaryzm wiązany zwłaszcza z późno powstałym niemieckim imperium kolonialnym w Afryce (niezależnie od tego, jak możemy owo imperium oceniać obecnie)^{xxxix}. W ten sposób postkolonialna lewica może paradoksalnie przejmować Schmittowskie przekonanie, iż „imperium morskie” stanowi imperium niejako nie-naturalne i ponosi odpowiedzialność za „skażenie” lądu^{xl}.

Bardziej ogólnie mówiąc, musimy mieć świadomość, że jeśli niesłusznie postrzegamy imperium jako wprowadzającą zamęt anomalie, zaś państwo narodowe jako coś normatywnego, to przyjmujemy perspektywę podzielaną przez Schmitta w jego najbardziej decyzyjonistycznej i statycznej fazie, mającej konotacje ze skrajną

prawicą, jeśli nie wręcz – w tym przypadku – konkretnie z nazizmem.

Niezależnie od tego, jak bardzo potępiamy (i słusznie) nadużycia popełniane w imię kapitalistycznego kolonializmu, trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek historię alternatywną, w której bardziej zaawansowane technologicznie imperia i państwa nie wchodziłyby w interakcje z mniej rozwiniętymi społeczeństwami plemiennymi ze wszystkimi tego dobrymi i złymi konsekwencjami. A zatem „relacyjna” ontologia polityczna (ani statyczna, ani nadmiernie internacjonalistyczna) zawsze z konieczności odgrywałaby pierwszorzędą rolę. Kolektywne i liberalne potwierdzanie niezawisłej, narodowej autonomii oraz wyzwolenia stanowi natomiast antyimperialną reakcję, która sama w sobie jest wytworem imperium i nieraz podtrzymuje, a nawet pogłębia czysto ekonomiczne aspekty zachodniej, imperialnej eksploatacji, jaka wciąż nie słabnie^{xli}.

A zatem przekonanie, że imperium prowadzi do skażenia państwa i swobodnego handlu przez państwo prowadzonego, bynajmniej nie jest czymś oczywistym, za to ma charakter aż nazbyt Schmittowski i ukrycie prawicowy. Wręcz przeciwnie: można by przekonywać, że imperium – czy to morskie, czy to lądowe (choć w najbardziej znanych przykładach chodziło o te ostatnie) – przybiera najbardziej przerażającą postać wówczas, gdy najmocniej ulega wirusowi nacjonalizmu i etnicznego atawizmu, tak jak było to w przypadku nazistów lub jak jest teraz z inwazją Putina na Ukrainę.

Tak więc nie chodzi o wybór między ziemią i wodą. Zamiast tego w przyszłości wszyscy powinniśmy podjąć próbę zamieszkiwania we wszystkich czterech żywiołach, podtrzymując zarówno prze-

strzenny dystans, jak i przestrzenną wspólnotę, oraz jednocząc się nie tyle za pomocą rozszczebiotanych fal powietrznych czy widma ognia ostatecznego zniszczenia,

ile dzięki biblijnemu, niebiańskiemu morzu, jakie rozświeca eter^{xlii}.

Tłumaczenie: Eliza Litak

ⁱ Zob. C. Schmitt, *Lewiatan w teorii państwa Tomasza Hobbesa: sens i niepowodzenie politycznego symbolu*, tłum. P. Nowak, Warszawa: Prószyński i S-ka 2008.

ⁱⁱ Oczywiście, należy tu zwrócić uwagę na dogłębną, choć przeoczoną paradoksalność faktu, iż w Biblii oceany traktowane są z dużą rezerwą.

ⁱⁱⁱ Zob. C. Schmitt, *Land and Sea: A World-Historical Meditation*, tłum. S.G. Zeitlin, Candor: Telos 2015.

^{iv} Zob. L. Gumilow, *Ethnogenesis and the Biosphere*, tłum. V. Novikov, Moscow: Progress 1990; A. Dugin, *The Theory of a Multipolar World*, tłum. M. Millerman, London: Arktos 2021; M. Laruelle, *Russian Eurasianism: An Ideology of Empire*, Baltimore: Johns Hopkins UP 2012; M. Bassin, *The Gumilev Mystique: Biopolitics, Eurasianism, and the Construction of Community in Modern Russia*, Ithaca: Cornell UP 2016. Na temat znaczenia filozofii Nietzschego dla rozwoju tego podejścia począwszy od lat trzydziestych XX wieku zob. tamże, s. 122–130. W znacznym stopniu doszło do fuzji myśli marksistowskiej i nietzscheańskiej, uwzględnienie czego pomaga zrozumieć, jak doszło do wyłonienia się putinizmu. Fakt obecności w tym ostatnim nietzscheańskiej spuścizny czyni go podatnym na myśl Schmitta.

^v Zob. C. Schmitt, *Nomos ziemi w prawie międzynarodowym Ius Publicum Europaeum*, tłum. K. Wudarska, Warszawa: Biblioteka Kwartalnika Kronos 2019, s. 13.

^{vi} Zob. C. Galli, *Genealogia della Politica: Carl Schmitt e la crisi del pensiero politico moderno*, Bologna: Il Mulino 1996; O. Bentancour, *Francisco de Vitoria, Carl Schmitt and Original Technicity*, „Politica Commune” 2014, nr 5, <https://doi.org/10.3998/pc.12322227.0005.002>

^{vii} Zob. M. Ojakangas, *Carl Schmitt and the Sacred Origins of Law*, „Telos” 2009, nr 147, s. 34–54.

^{viii} Zob. C. Schmitt, *Nomos ziemi*, s. 16–21.

^{ix} Zob. F. Suarez, *De legibus ac Deo legislatore, II*, 19, w: *From Irenaeus to Grotius: a Sourcebook in Christian Political Thought*, red. O. O'Donovan, J.L. O'Donovan, Grand Rapids: Eerdmans 1999, s. 728.

^x Zob. C. Schmitt, *Nomos ziemi*, s. 25.

^{xi} Zob. tamże, s. 22–34.

^{xii} Zob. tamże, s. 25–29; G. Agamben, *The Time that Remains: a Commentary on the Letter to the Romans*, tłum. P. Dailey, Stanford: Stanford UP 2005, s. 108–112.

^{xiii} Zob. J. Milbank, *Przekroczyć rozum sekularny. Teologia i teoria społeczna*, tłum. M. Filipczuk, Warszawa: Teologia Polityczna 2020, s. 811–933.

^{xiv} Zob. C. Schmitt, *Nomos ziemi*, s. 33, 47–51.

^{xv} Zob. tamże, s. 54.

^{xvi} Zob. tamże, s. 100.

^{xvii} Zob. tamże, s. 137–140.

^{xviii} Zob. C. Schmitt, *Teoria partyzanta. Uwagi na marginesie „pojęcia polityczności”*, tłum. B. Cymbrowski, Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2016.

^{xix} Zob. I. Kant, *O wiecznym pokoju*; C. Schmitt, *Nomos ziemi*, s. 147–151.

^{xx} C. Schmitt, *Rzymski katolicyzm i polityczna forma*, w: tegoż, *Teologia polityczna i inne pisma*, tłum. M.A. Cichoński, Warszawa: Wydawnictwo Aletheia 2012, s. 131.

^{xxi} Można by przekonywać, że woluntaryzm Schmitta niekiedy ulegał modyfikacjom pod wpływem personalizmu głoszonego przez jego przyjaciół, Ericha Przywarę i Ericha Petersona.

^{xxii} Na temat potencjalnie mrocznej roli Lutra i Prus zob. J. Hawes, *The Shortest History of Germany*,

London: Old Street 2018.

^{xxiii} Zob. C. Schmitt, *Land and Sea*, s. 89–94.

^{xxiv} Zob. tamże, s. 8.

^{xxv} Zob. S.G. Zeitlin, *Propaganda and Critique: An Introduction to „Land and Sea”*, w: C. Schmitt, *Land and Sea*, s. xxxi–lxix.

^{xxvi} Zob. M. Bassin, *The Gumilev Mystique*, s. 75–77.

^{xxvii} Zob. A. Dugin, *The Great Awakening vs The Great Reset*, London: Arktos 2021.

^{xxviii} Zob. M. Galeotti, *A Short History of Russia: How to Understand the World's Most Complex Nation*, London: Penguin 2022.

^{xxix} Zob. M. Bassin, *The Gumilev Mystique*, s. 81–114; M. Laruelle, *Russian Eurasianism*, s. 95–106.

^{xxx} Zob. M. Galeotti, *A Short History of Russia*, s. 95–113.

^{xxxi} Zob. K. Polanyi, *The Livelihood of Man*, New York: Academic Press 1977, s. 77–142.

^{xxxii} W przypadku Rosji takie samo poczucie próby głębszego wybadania przyczynowości odnosi się przy lekturze *Wojny i pokoju* Tolstoja.

^{xxxiii} Zob. J. Wainwright, G. Mann, *Climate Leviathan: A Political Theory of our Planetary Future*, London: Verso 2022.

^{xxxiv} Zob. J.-L. Viellard-Baron, *Le Supplement d'âme our le renouveau du spiritualisme*, Paris: Hermann 2016.

^{xxxv} Zob. zwłaszcza R.W. Emerson, *Natura*, w: tegoż, *Natura. Amerykański uczony*, tłum. M. Filipczuk, Kraków: Zielona Sowa 2005.

^{xxxvi} Zob. A. Dugin, *The Great Awakening*.

^{xxxvii} Zob. J. Zacarés, *Euphoria of the Rentier? Late Capitalism*, „New Left Review” 2021, nr 129, s. 47–67.

^{xxxviii} Zob. A. Dugin, *The Great Awakening*, s. 80–86.

^{xxxix} Wysuwa się argument, że niemieckie akty okrucieństwa w Afryce zapowiadały podobne akty wymierzone w Żydów i inne grupy zamieszkujące Europę. Jednak mimo pewnych zakłóceń porządku, być może niesłusznie uznawanych za „ludobójstwo”, niemiecka karta w Afryce pozostawała stosunkowo dobra. Źródła nazistowskiego rasizmu wcale nie leżą w kolonializmie, ale raczej w wielowiekowej, „ładowej”, pruskiej i luterańskiej nienawiści wobec Słowian, Żydów i katolików w Europie. Zob. B. Gilley, *In Defence of German Colonialism: And How Its Critics Empowered Nazis, Communists and the Enemies of the West*, Washington: Regnery 2022; J. Hawes, *The Shortest History of Germany*.

^{xl} Zob. też P. Mishra, *From the Ruins of Empire: The Revolt Against the West and the Remaking of Asia*, London: Penguin 2013. Mishra ma skłonności do relatywizowania wewnątrz zachodnich konfliktów między liberałami i totalitarystami w imię czegoś, co uznaje za bardziej podstawowy konflikt między Zachodem i resztą świata. Czyniąc tak, wydaje się zachęcać do przyjęcia perspektywy właściwej „odwróconemu rasizmowi”, zgodnie z którą polityczno-ekonomiczne stanowiska właściwe nazistom, sowietom i Japończykom z połowy XX wieku można by uznać za bardziej pokrewne globalnemu Południu niż zwykłym dla Zachodu podejściom liberalnym czy socjalno-demokratycznym – Japończycy są tu nieomal postrzegani jako walczący w II wojnie światowej o wyzwolenie Południa. Wszystko to wydaje się niezwykle złowieszcze w obliczu gotowości Iranu, Indii, Chin i części świata islamskiego do opowiedzenia się za Putinem i zaprzeczenia jakiegokolwiek prawomocności państwa Izrael.

^{xli} Zostało to wyraziście opisane w powieści Gilesa Fodena zatytułowanej *Freight Dogs* (London: Weidenfeld and Nicholson 2021), opowiadającej o wojnie w rejonie Wielkich Jezior Afrykańskich, choć z pewnością niezbyt przekonujące jest przejęte przez Fodena założenie, iż obecna anarchia i przestępczość są po prostu odtworzeniem imperialistycznych nadużyć z przeszłości (które to nadużycia oczywiście często były odrażające): „zajmują wszystkie te miejsca na obszarze, na którym przez ponad sto lat trwał bezlitosny taniec imperialnego handlu, prowadzonego w imię cywilizacji. Napady na banki, włamania do magazynów, szabrowanie otwartych kontenerów, oficerowie napełniający własne kieszenie dokładnie tak, jak czynili to ich kolonialni poprzednicy” (s. 240). Cóż, może nie

dokonywane jest to „dokładnie tak, jak” niegdyś; także przedsięwzięć „cywilizacyjnych” (nawet tych chybionych) nie da się uznać za wyłącznie zasłonę dla handlu. Jednak to dość banalne podkreślanie rzekomej ciągłości tak naprawdę nie umniejsza wagi przedstawionego w powieści obrazowego i przenikliwego opisu przerażającego i niezrozumiale skomplikowanego nakładania się na siebie celów państwowych i plemiennych, prowadzącego do ciągłych gwałtów, tortur i masakr oraz rozwoju bardziej otwarcie ekonomicznego imperializmu zachodnich podmiotów, handlujących bronią i narkotykami, a także wydobywających zasoby mineralne, zaś przy tym pozostających zasadniczo obojętnymi na bestialstwa, których są świadkami i do których zarazem się przyczyniają. Wbrew samemu sobie Foden nawiązuje do Conradowskiego odczucia ciemności, jednocześnie rodzącego się z przebywania w zamorskim kraju i wyłaniającego się z pradawnego, kontynentalnego interioru. Na przyszłość Afryka bez wątpienia potrzebuje post-etatystycznych, panafrykańskich rozwiązań, w które Europa byłaby zaangażowana w sposób odmienny niż dzisiaj, bardziej polityczny i szczodry.

^{xiii} Por. Ap 4,6 – przyp. tłum.

Juan nie rządzi światem. Przynajmniej na razie | Z Centrum Świata, marzec 2023



DR KRZYSZTOF M. ZALEWSKI

współzałożyciel Instytutu Boyma, redaktor „Tygodnia w Azji” i „Azjatech”. Ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie (2009), doradca marszałka Sejmu RP (2009-2010), pracownik Biura Spraw Zagranicznych Kancelarii Prezydenta RP (2010-2014) oraz Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej (2014-2016). Pasjonat turystyki kajakowej, pływania i siatkówki. Twitter: @KMZalew

Czy obserwujemy koniec dominacji dolara w handlu światowym? Kto będzie rządził ChRL? Jak chiński smok wszedł na Bliski Wschód?

Czy zbliżyliśmy się do zakazu TikToka w USA? Jakie inne chińskie aplikacje podbijają USA? O czym świadczą podróże zagraniczne prezydent(ów) Tajwanu? Czy Australię stać na sojusz z USA? – na te i inne pytania związane z rosnącą rolą Azji staramy się odpowiedzieć w najnowszym przeglądzie „Z Centrum Świata”.

W najnowszej odsłonie sporu w świecie Zachodu dotyczącego aplikacji TikTok, 24 marca amerykański Kongres przesłuchiwał Shou Zi Chewa, singapurskiego CEO spółki. Program jest pośrednio własnością pekińskiej firmy Bytedance. Przesłuchanie w Kongresie to kolejny krok, który może prowadzić do całkowitego zakazu używania programu w USA, po wprowadzonych w zeszłym roku federalnych zakazach używania go na telefonach służbowych. Podobne zarządzenie wydane zostało w marcu w Wielkiej Brytanii z rekomendacji tamtejszego Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cyfrowego.

Efektem wielogodzinnego przepytывania była zapewne konsolidacja stanowisk: sceptycy utwierdzili się w swoich krytycznych sądach dotyczących wpływu aplikacji na zdrowie psychiczne młodzieży, bezpieczeństwo danych użytkowników i bezpieczeństwo narodowe. Przeciwnicy federalnych restrykcji widzieli w działaniach Kongresu próbę ograniczenia wolności wyboru i słowa.

TikTok wyrasta na najważniejsze medium społecznościowe młodego pokolenia Amerykanów. Jeśli większość wśród starszych pokoleń sprzyja jego delegalizacji, to wśród urodzonych po 1980 r. sprzeciwia się temu 51 proc. respondentów (za sondażem NPR/PBS NewsHour/Marist). Aktywnych na platformie jest ponad 150 mln obywateli USA, będąc wedle branżowego serwisu Anxios jedną z najczęściej ściąganych aplikacji na amerykańskie telefony.

TikTok nie jest jednak jedyną chińską gwiazdą wśród aplikacji i platform internetowych. Na dziesięć naj-

częściej pobieranych programów w USA aż cztery pochodzą z Państwa Środka. W dniach 26 lutego-26 marca na urządzeniach mobilnych poza TikTokiem (7,4 mln pobrań) najchętniej ściągano aplikację zakupową Temu (10 mln pobrań), program do obróbki wideo Capcut (6,7 mln) oraz odzieżowy Shein (6,3 mln).

Początek marca przyniósł **kolejną od-słone sporu o wpływ, jaki Chiny miały na kanadyjskie wybory w 2019 i 2021 roku.** Pod presją opinii publicznej premier Kanady Justin Trudeau zapowiedział zbadanie sprawy, która ponownie stała się głośna na skutek przecieków z tajnych raportów służb wywiadowczych. Odrębne śledztwo przeprowadzi również parlamentarna Komisja Bezpieczeństwa Narodowego i Wywiadu złożona z członków obu izb parlamentu.

Na dziesięć najczęściej pobieranych programów w USA aż cztery pochodzą z Państwa Środka

Chińska Republika Ludowa miała podjąć działania, których celem było unie-możliwienie zdobycia mandatu przez polityków wrogo nastawionych do Państwa Środka, głównie opozycyjnych konserwatystów. Głównym ośrodkiem całej operacji miał być chiński konsul w Toronto, który zarządzał niezbędnymi na ten cel funduszami. Z potwierdzonej dotychczas puli 250 tys. dolarów kanadyjskich sfinansowano część kosztów kampanii co najmniej 11 politykom. ChRL mogła także stać za atakami na kandydatów, oczer-

nianych w mediach skierowanych do chińskojęzycznych obywateli Kanady.

Ma Ying-jeou, były prezydent Tajwanu (2008-2016), rozpoczął 12-dniową podróż do Chin. To pierwsza od 1949 r. wizyta byłego szefa rządu w Tajpej w Chinach kontynentalnych, które uznają samorządną wyspę za swoją zbuntowaną prowincję. Prezydent Ma, wywodzący się z ostatnio przyjaznego wobec Chin kontynentalnych Kuomintangu, nie planował spotkania z chińskimi władzami, a jego podróż oficjalnie miała na celu jedynie oddanie hołdu przodkom.

Wizyta podczas święta zmarłych Qingmingjie została jednak odczytana głównie w kontekście politycznym, czyli próby obniżenia napięcia w Cieśninie Tajwańskiej. „Wszyscy jesteśmy Chińczykami” – miał powiedzieć były prezydent Ma po przybyciu na kontynent.

Rządząca od 2016 r. prezydent Tsai Ing-wen, wywodząca się z Demokratycznej Partii Postępowej niemal jednocześnie planowała swoją nie-oficjalną wizytę w USA. Jej partia ostro skrytykowała podróż Ma Ying-jeou.

Stany Zjednoczone wedle przyjętej od dawna formuły dyplomatycznej nie przyjmują prezydent Tajwanu jako głowy państwa, a jej pobyt w USA określają mianem „tranzytu” w jej podróży do Gwatemali i Belize. Te dwa środkowoamerykańskie państwa są jednymi z kilkunastu, które uznają Tajwan, nie utrzymując oficjalnych stosunków z Pekinem. W drodze powrotnej spodziewane jest spotkanie prezydent Tsai z republikańskim spikerem Izby Reprezentantów, Kevinem McCarthym.

Liczba państw uznających rząd na Tajwanie jako oficjalną reprezen-

tację Chin systematycznie spada. 25 marca MSZ Hondurasu wydało oświadczenie, wedle którego „Rząd Republiki Hondurasu uznaje istnienie jednych Chin na świecie oraz że rząd Chińskiej Republiki Ludowej reprezentuje Chiny jako całość”, co było ciosem dla Tajpej starającego się o uznanie swojej podmiotowości i niezależności na arenie międzynarodowej. Obecnie jedynie trzynaście państw świata – włączając w to Watykan – utrzymuje stosunki dyplomatyczne z Tajwanem.

W Pekinie zakończyła się konsolidacja niemal nieograniczonej władzy Xi Jinpinga. 13 marca doroczna sesja Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (OZPL), liczącego blisko trzy tysiące delegatów faszadowego parlamentu, zatwierdziła trzecią kadencję Xi Jinpinga na kierowniczych stanowiskach w państwie i przyjęła firmowane przez niego zmiany legislacyjne. Xi w listopadzie 2022 r. został również wybrany na kolejną kadencję jako przewodniczący KPCh.

Prawie wszyscy liczący się w Chinach politycy, z nowym premierem Li Qiangiem na czele, to zaufani Xi

Partia wedle przewidywań zacieśni swoją ścisłą kontrolę nad państwem i gospodarką (w tym pojedynczymi przedsiębiorstwami), a obecny lider nie będzie miał realnej konkurencji. Prawie wszyscy liczący się w Chinach politycy, z nowym premierem Li Qiangiem na czele, to zaufani Xi, którzy zawdzięczają mu awans.

Takie podporządkowanie instytucji woli jednej osoby nie miało w Pekinie miejsca co najmniej od czasu odsunięcia się w cień Deng Xiaopinga (1989 r.).

Zgodnie z długoletnim trendem, także w tym **roku znacznie powiększą się wydatki Chin na obronność i wojsko**. Fasadowy chiński parlament zatwierdził ich wzrost o 7 proc., do równowartości 225 mld dolarów.

Teheran i Rijad po kilkuletniej przerwie ogłosiły w połowie marca przywrócenie stosunków dyplomatycznych i ponowne otwarcie ambasad. Obniżenie napięcia w między obiema stolicami regionalnych mocarstw może doprowadzić do zmniejszenia nasilenia konfliktów, w których Saudowie i Irańczycy popierają różne strony. Szczególne nadzieje można mieć na zakończenie wojny w Jemenie.

Porozumienie jest niewątpliwym sukcesem dyplomacji chińskiej, która pośredniczyła w rozmowach. W końcówce zeszłego roku chiński przywódca odwiedził Rijad, a irański prezydent pojechał w lutym do Pekinu. ChRL utrzymuje poprawne stosunki zarówno z Iranem, jak i z Arabią Saudyjską, dla których jest głównym nabywcą ropy.

Porozumienie zaskoczyło dyplomatów w USA. „Tak się złożyło, że tego ranka miałem dwa spotkania z ludźmi, z którymi często rozmawiam o Iranie. Żaden z nich nie słyszał o tych wiadomościach, dopóki im nie powiedziałem, i obaj początkowo myśleli, że mogę sobie z nich żartować” – napisał Simon Henderson w czasopiśmie „The Hill”.

27 marca rząd Arabii Saudyjskiej zatwierdził wniosek, by kraj ten sta-

rał się dołączyć do Szanghajskiej Organizacji Współpracy jako „partner w dialogu”. Obecnie organizacja składa się z dziewięciu państw członkowskich (Chiny, Indie, Iran, Kazachstan, Kirgistan, Rosja, Pakistan, Tadżykistan, Uzbekistan), trzech państw obserwatorów (Afganistan, Białoruś, Mongolia) oraz ośmiu – „partnerów dialogu” (Armenia, Azerbejdżan, Kambodża, Nepal, Sri Lanka, Turcja, Egipt i Katar).

Arabia Saudyjska od siedmiu dekad jest kluczowym partnerem USA w regionie, ale więzi te słabną wraz z wycofywaniem się Ameryki z Bliskiego Wschodu i spadkiem znaczenia importu ropy z regionu do USA.

W dniach 21-23 marca Xi Jinping złożył wizytę w Moskwie. Była ona okazją do demonstracji antyzachodniej jedności obu państw i ich ambicji tworzenia alternatywnego wobec Zachodu ładu międzynarodowego. Ogłoszone na szczycie decyzje o współpracy gospodarczej oraz jej ogłoszone rezultaty świadczą o rosnącej asymetrii w chińsko-rosyjskich relacjach gospodarczych. Wbrew obawom państw zachodnich, nie mamy potwierdzonych informacji o chińskich dostawach militarnych dla Rosji w kontekście wojny w Ukrainie. Jednocześnie należy spodziewać się kontynuacji importu do Rosji chińskich towarów podwójnego – cywilnego i militarnego – zastosowania. Szczególnie dotyczy to elektroniki. Zaś budowę drugiej nitki gazociągu „Siła Syberii” przełożono na przyszłą dekadę.

Być może właśnie obserwujemy schyłek dominacji dolara w handlu światowym. Wedle raportu BIS Banku Rozrachunków Międzynarodowych (BIS)

z grudnia 2022 r. obecnie jeszcze ponad połowa transakcji międzynarodowych fakturowana jest w USD. Przypomnijmy, że tradycyjnie jednym z kluczowych elementów centralnej pozycji amerykańskiej waluty w systemie globalnym są rozliczenia za surowce energetyczne.

Powoli się to jednak zmienia. Pod koniec marca szanghajska giełda poinformowała, że chiński CNOOC oraz francuska TotalEnergies zawarły umowę sprzedaży niewielkiej partii gazu ziemnego nominowaną w juanach.

„Rząd Republiki Hondurasu uznaje istnienie jednych Chin na świecie oraz że rząd Chińskiej Republiki Ludowej reprezentuje Chiny jako całość”

Także oba wspomniane wyżej wydarzenia dyplomatyczne – porozumienie irańsko-saudyjskie pod chińskimi auspicjami oraz wizyta Xi w Moskwie – mogą być ważnymi krokami do umiędzynarodowienia juana. Prezydent Putin złożył deklarację o gotowości Rosji do przejścia na rozliczenia w chińskiej walucie (RMB) nie tylko w handlu z Chinami, lecz także z innymi państwami. Zwiększyłoby to szansę na wzrost znaczenia globalnego chińskiej waluty, co jest jednym z zamierzeń Pekinu od ponad 20 lat. Podobnie w relacjach z Arabią Saudyjską Chiny będą prawdopodobnie rozliczać część dostaw ropy we własnej walucie.

Warto pamiętać, że na razie mówimy o handlu, a nie o innych aspektach funk-

cjonowania USD w systemie światowym. Rola dolara choćby w transakcjach walutowych czy w gromadzeniu rezerw przez banki centralne jest na razie niepodważalna.

Jednocześnie z wizytą chińskiego przywódcy w Moskwie miała miejsce podróż japońskiego premiera Fumio Kishidy do Kijowa i Warszawy. Odbyła się ona wkrótce po ogłoszeniu przez Japonię kolejnej rundy sankcji na Rosję. Tym razem Tokio rozszerzyło listę osób objętych zakazem wjazdu i zamrożeniem aktywów oraz wprowadziło ograniczenia eksportowe towarów podwójnego zastosowania.

Yoon Suk-yeol złożył 16 i 17 marca do Japonii, co było pierwszą od dwunastu lat wizytą bilateralną południowokoreańskiego prezydenta w tym kraju. W wyniku rozmów Japonia zdecydowała się uchylić ograniczenia eksportowe do Korei, a Seul w pełni powrócić do umowy o dzieleniu się informacjami wywiadowczymi (GSOMIA). W spotkaniach wzięli udział także liderzy największych koreańskich firm (czebol), co wskazuje na intencję zaciśnięcia relacji biznesowych pomiędzy oboma państwami.

Zbliżenie było możliwe dzięki ograniczeniu sporów o charakterze prawnohistorycznym. Oficjalny Seul zaproponował formalnie wypłacenie odszkodowania ofiarom japońskich obozów pracy. Środki będą pochodzić ze wspieranej przez rząd fundacji, zamiast ze strony firm japońskich, zobowiązanych do tego przez koreański sąd w 2015 r. Zgodnie z założeniami fundusze zbiorą też koreańskie firmy, w szczególności te, które otrzymały w przeszłości granty od Tokio.

18 miesięcy po ogłoszeniu AUKUS (USA, Wielka Brytania, Australia) poznaliśmy więcej informacji dotyczących budowy okrętów podwodnych o napędzie nuklearnym dla Canberra. Przypomnijmy, że było to pierwsze wspólne przedsięwzięcie anglosaskiej trójki połączonej nowym bliskim sojuszem obronnym nakierowanym głównie na powstrzymanie wzrostu chińskiej potęgi na światowych morzach.

Rząd Arabii Saudyjskiej zatwierdził wniosek, by kraj ten starał się dołączyć do Szanghajskiej Organizacji Współpracy jako „partner w dialogu”

Australia nabędzie prawdopodobnie co najmniej trzy amerykańskie okręty typu „Virginia” z opcją zakupu kolejnych dwóch. Swój udział w budowie będą miały brytyjskie firmy BAE Systems i Rolls-Royce. Pierwsze jednostki wypłyną na morza w drugiej połowie lat 30. Wcześniej USA prawdopodobnie użyczą Canberrze swoich jednostek. Parametry techniczne pozwolą okrętom bazowanym w Australii na długie patrolowanie wód Pacyfiku i mórz przybrzeżnych bez konieczności wynurzenia się.

Chiny oskarżyły członków AUKUS o złamanie układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej (NPT) ze względu na użycie wzbogaconych materiałów rozszczepialnych do napędu okrętów. Kraje AUKUS zapewniły zaś, że uran zostanie wzbogacony w reaktorach brytyjskich bądź

amerykańskich, a paliwo nie zostanie użyte do budowy ładunków nuklearnych. O naruszeniu NPT nie może być więc mowy.

Dość niespodziewanie koszta nowych jednostek podzieliły rządzącą w Canberrze Partię Pracy (ALP). W ratach budżet australijski będzie musiał do połowy lat 50. przeznaczyć na budowę okrętów i związanych z nimi systemów ponad 368 mld dolarów, przy czym już w następnym czteroletnim rachunku będą opiewać na ponad 3 mld USD.

Marzec przyniósł też zwiększenie presji handlowej na Chiny ze strony USA. Pod wpływem nacisków amerykańskich rząd Niderlandów wprowadzi ograniczenia na eksport urządzeń do produkcji zaawansowanych mikroprocesorów. Branżki ASML jednym z liderów w branży.

Niezależnie od tego USA wprowadziły restrykcje handlowe wobec pięciu firm chińskich zaangażowanych we współpracę z irańskimi dostawcami dronów do Rosji, a 17 podmiotów z Hongkongu znalazło się na liście sankcyjnej w związku z transakcjami bankowymi z Iranem.

Japonia i Chiny mają (różne) problemy z inflacją. Chiński urząd staty-

styczny ogłosił, że w lutym wskaźnik inflacji spadł do nieco ponad 1 proc. (r/r). Oznaczałoby to, że jeśli problemem większości rozwiniętych gospodarek jest najwyższa inflacja od połowy lat 80., to Chiny zmierzają na razie w odwrotnym kierunku. Nowy premier Li Qiang ostrzegł, że gospodarka kraju jest „niezrównoważona”, a osiągnięcie zakładanego wzrostu na poziomie 5 proc. w 2023 r. „będzie niełatwym zadaniem”.

Chiny oskarżyły członków AUKUS o złamanie układu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej

Jednocześnie inflacja w Japonii, drugiej największej gospodarce Azji, wzrosła do 4,2 proc. w styczniu (r/r), co zmusiło tamtejszych pracodawców zagrożonych strajkami do rekordowych podwyżek płac. Japonia przez dekady mierzyła się z deflacją, więc obecna sytuacja spowodowana słabnącym jenem i rosnącymi kosztami importu jest nowym wyzwaniem dla tego stabilnego społeczeństwa.

Ameryka zmienia politykę wobec wojny na Ukrainie. Polska powinna porzucić złudzenia



ROBERT KURASZKIEWICZ

W latach 80-tych działacz opozycji antykomunistycznej w Ruchu Młodzieży Niezależnej i Ruchu Młodej Polski, jeden z założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, publicysta, przedsiębiorca i menadżer

Nowa strategia USA ma ostatecznie doprowadzić do rozmów pokojowych. Ameryka nie będzie wspierać Ukrainy w nieskończoność – jak i całej Europy. Czy mamy na to pomysł w Polsce?

Na kilku odcinkach szerokiego ukraińskiego frontu trwają ciężkie walki, a czas jest odmierzany ilością straconego przez Rosjan sprzętu i krwią ukraińskich żołnierzy. Taktyka Rosjan polega na mozolnym i krwawym wypychaniu Ukraińców z kilku ważnych miejscowości Donbasu. I już nawet mniej ważne, czy ma to służyć wykrwawianiu Ukraińców, czy też jest to część ofensywy i próba zdobycia przynajmniej resztek obwodu ługańskiego i donieckiego. Bezpośrednie cele polityczne Putina w trakcie wojny ulegają nieustannemu ograniczaniu. Dzisiaj byłby on gotowy zakończyć wojnę na obecnej linii frontu. To by wystarczyło, żeby ogłosić sukces. A moskiewskiemu carowi, który rozpoczął wojnę, sukces jest niezbędny do politycznego, a nawet egzystencjalnego przetrwania. Dla Ukrainy natomiast byłaby to katastrofa. Niezbędnym minimum dla przetrwania Ukrainy jest odzyskanie pasa Morza Czarnego i Azowskiego do Mariupola. Bez tego Ukraina będzie państwem

upadłym i niezdolnym do rozwoju. Odbicie tych terenów jest niezbędne, żeby Ukraina mogła prowadzić handel morski i starać się równoważyć rosyjską Flotę Czarnomorską. Jednym słowem bez całego pasa czarnomorskiego Ukraina nie tylko byłaby zagrożona nową agresją rosyjską, ale w każdej chwili byłaby trzymana przez Moskwę za gardło. Dlaczego jest to tak ważne? Dlatego, że w Stanach Zjednoczonych następuje zasadnicza zmiana w podejściu do wojny.

Ku nowej strategii

Ukraińcy dostają wielkie wsparcie militarne po to, by przeprowadzić ofensywę, a po jej zakończeniu usiąść do rozmów pokojowych. W zasadzie niezależnie od efektów. Taki plan może wywrócić tylko upór Putina, jeżeli nadal realizowałby on swoje cele maksymalne. Jesienią ubiegłego roku proponowano mu rozmowy, ale wtedy nie chciał rezygnować z tych celów,

więc Stany Zjednoczone podjęły decyzje o dozbrojeniu Ukrainy i przekonały do tego Europę.

Co jest celem Amerykanów w tej wojnie? Być może wielu czytelników będzie zaskoczonych, ale celem Stanów Zjednoczonych nie jest obrona wolności, całości i niepodległości Ukrainy. Celem jest osłabienie Rosji, zmniejszenie potencjału „autokracji”, czyli państw, w których nie panuje liberalna demokracja i pokazanie, że nie można zmieniać porządku światowego bez udziału i zgody Waszyngtonu. Większość tych celów została spełniona. 13 kwietnia na łamach cyfrowej wersji „Foreign Affairs” ukazał się [tekst](#) „The West Needs a New Strategy in Ukraine” („Zachód potrzebuje nowej strategii w Ukrainie”) z podtytułem „A Plan for Getting From the Battlefield to the Negotiating Table” („Plan przejścia z pola bitwy do negocjacyjnego stołu”), podpisany przez szefa Council on Foreign Relations Richarda Haassa i Charlesa Kupchana, członka Rady i profesora Georgetown University.

CFR jest nie tylko prestiżową instytucją, ale ma quasi-oficjalny charakter, a na łamach FA ukazywało się w przeszłości wiele ważnych programowo tekstów dla amerykańskiej polityki zagranicznej, żeby chociaż wspomnieć słynną „Długą depeszę” z Moskwy George’a Kennana z 1946 roku, gdzie została wyłożona obowiązująca później przez lata „doktryna powstrzymywania”. Ostatnim przykładem jest koncepcja „Zeitenwende” Olafa Scholza, która w pełnym wymiarze została ogłoszona na łamach FA.

Autorzy opracowania przedstawiają jasny plan na najbliższe miesiące. Zachód powinien zwiększyć dostawy broni do Ukrainy na tyle ile się da, czyli przekazać również rakiety dalekiego zasięgu ATA-

CAMS i zacząć szkolenie ukraińskich pilotów na F-16. Po to, aby pokazać determinację Zachodu, a przede wszystkim zwiększyć szansę na odbicie maksymalnej ilości terenów okupowanych przez Rosjan. Chociaż tego nie wykluczają, uważają, że odbicie całości terenów jest „wyoce nieprawdopodobne”. Kluczowy fragment odnosi się do oceny osiągnięcia celów politycznych przez Waszyngton. „Podtrzymanie istnienia Ukrainy jako suwerennego i demokratycznego kraju jest priorytetem,

Po wyczerpaniu się ukraińskiej ofensywy, najpóźniej na jesieni powinno dojść do zawieszenia broni i rozmów pokojowych. Podkreślmy to: niezależnie od tego, gdzie się ta ofensywa zakończy

ale osiągnięcie tego celu nie wymaga odzyskania kontroli nad Krymem i Donbasem w najbliższym czasie. Zachód nie powinien się również przejmować tym, że nacisk na wprowadzenie zawieszenia broni zanim Kijów odzyska całość swojego terytorium spowoduje upadek międzynarodowego porządku opartego na zasadach. Ukraiński hart ducha i zdecydowana postawa Zachodu pozwoliły odepchnąć Rosję zmierzającą do podporządkowania Ukrainy, spowodowały, że Rosja poniosła strategiczną porażkę i zademonstrowały innym potencjalnym rewizjonistom, że dążenie do podbojów terytorialnych może być przedsięwzięciem kosztownym i sprawiającym problemy” – piszą autorzy.

Warunki pokoju

Kiedy już uda się doprowadzić do trwałej ofensywy, Zachód powinien wypracować koncepcję zakończenia wojny, pokoju i gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Tutaj rozwiązania są stosunkowo proste i oczywiste. Generalnie składają się z dwóch elementów: gwarancji bezpieczeństwa oferowanych przez USA, Wielką Brytanię i kraje europejskie oraz z jasnego harmonogramu dla członkostwa w Unii Europejskiej jako elementu szerszego planu odbudowy Ukrainy ze zniszczeń wojennych. Należy zaznaczyć, że „na tym etapie” wykluczają kwestię członkostwa Ukrainy w NATO. Po wyczerpaniu się ukraińskiej ofensywy, najpóźniej na jesieni powinno dojść do zawieszenia broni i rozmów pokojowych. Podkreślmy to: niezależnie od tego, gdzie się ta ofensywa zakończy. Nawet jeżeli utknęłaby na obecnej linii frontu!

Autorzy zdają sobie sprawę, że może być problem ze zmuszeniem Putina do zawieszenia broni, ale zakładają, że szansa wyjścia z wojny z sukcesem i globalny nacisk dyplomatyczny, oraz oferowane zniesienie „przynajmniej części” sankcji spowodują, że nie będzie miał możliwości nieskorzystania z takiej okazji. Co do Ukrainy, to – mówiąc wprost – nie za bardzo będzie miała wyjście. Mówiąc jeszcze brutalniej, będzie musiała skorzystać z propozycji nie do odrzucenia. Co, jeżeli Ukraina odmówiłaby przystąpienia do zawieszenia broni i rozmów? Autorzy odpowiadają pięknym, ale brutalnym językiem amerykańskiej dyplomacji: „Jeżeli tak by się stało, to nie byłby to pierwszy przypadek w historii, że partner tak mocno zależny od wsparcia USA przeciwstawiał się presji żeby zminimalizować swoje cele

polityczne (...) Jeżeli jednak Kijów rzeczywiście by się przeciwstawiał, to realia polityczne są takie, że wsparcie dla Ukrainy będzie mogło być utrzymane w Stanach Zjednoczonych i w Europie, zwłaszcza jeżeli Rosja miałaby zaakceptować zawieszenie broni. Ukraina nie będzie miała innego wyboru, niż się przyłączyć”.

Autorzy twierdzą również, że czas zmienić podstawy amerykańskiej polityki wobec wojny. Kijów nie może już samodzielnie odpowiadać za sposób jej zakończenia. Odpowiedzialność za to musi wziąć Waszyngton. Wojna staje się dla Zachodu

Haass i Kupchan: „Jeżeli jednak Kijów rzeczywiście by się przeciwstawiał, to realia polityczne są takie, że wsparcie dla Ukrainy nie będzie mogło być utrzymane w Stanach Zjednoczonych i w Europie, zwłaszcza jeżeli Rosja miałaby zaakceptować zawieszenie broni”

i USA coraz bardziej kosztowna ekonomicznie, zaplecze militarne się wyczerpuje i w całej skali pojawiają się nowe zagrożenia wobec których Ameryka musi się aktywniej zaangażować. Stany Zjednoczone mają nowe, poważniejsze obecnie wyzwania, którymi muszą się zająć, a „pokój na Ukrainie nie może być zakładnikiem wojennych celów, które jakkolwiek moralnie usprawiedliwione, są nieosiągalne”. To bardzo jasno wyłożona strategia, która

staje się podstawowym programem administracji Bidena.

Nowy świat, słabsze Stany

Wojna w Ukrainie przyspieszyła powstanie nowego świata. Częścią tego procesu jest relatywne słabnięcie Ameryki. Stany Zjednoczone i Zachód nie są już najważniejszym punktem odniesienia w polityce wielu państw Globalnego Południa, a obecnie nie mają już lewara w postaci siły, która mogłaby wymusić na nich postawy sojusznicze. Chiny po umocnieniu władzy Xi Jinpinga i zakończeniu walki z pandemią bardzo się uaktywniły. Zarówno dyplomatycznie, jak i w zakresie budowy swojej ekspozycji siły. Jak już pisałem w NK, dysponują swoją koncepcją globalnego porządku, która w wielu przypadkach jest korzystniejsza dla poszczególnych państw niż konsensus waszyngtoński. Niech za przykład posłuży nam fundamentalny zwrot polityczny, który dokonuje się na Bliskim Wschodzie. Znaczenie porozumienia między Rijadem i Teheranem jest duże – to więcej niż kolejny zwrot dyplomatyczny między skonfliktowanymi krajami. Wyznacza kierunki wielowymiarowych zmian geopolitycznych, których jesteście świadkami.

Zbigniew Brzeziński jest twórcą koncepcji tzw. globalnych Bałkanów, czyli wielkiego obszaru rozciągającego się od Bliskiego Wschodu do zachodnich prowincji Chin poprzez obszar środkowej Azji. To na tym obszarze mają się dokonywać najważniejsze zmiany ekonomiczne (surowce), społeczne (demografia) i polityczne (konkurencja między USA i Chinami), które będą pokazywały, gdzie zmierza świat. Dosłownie w ostatnich tygodniach mieliśmy taki przykład zmian, które wytyczają przyszłość. Chodzi o umo-

wę pomiędzy Arabią Saudyjską a Iranem, zawartą przy krytycznym wpływie Chin i następującą po nich lawinę wydarzeń politycznych. Niech przykładem będzie choćby wizyta ministra spraw zagranicznych Syrii w Arabii Saudyjskiej. Zarówno dla Iranu jak i Arabii Saudyjskiej Chiny są największym partnerem handlowym. Ten fakt odegrał ogromną rolę w rewolucji dyplomatycznej, którą obecnie obserwujemy w Zatoce Perskiej. Oba te kraje z dużo większą sympatią patrzą na chińską propozycję globalnego porządku.

Haass i Kupchan: „Pokój na Ukrainie nie może być zakładnikiem wojennych celów, które jakkolwiek moralnie usprawiedliwione, są nieosiągalne”

Najważniejsze jest jednak co innego. Obszar ten do niedawna miał krytyczne znaczenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa. Po raz pierwszy w nowożytnej historii tworzy się porządek na Bliskim Wschodzie bez udziału Stanów Zjednoczonych. Waszyngton nawet nie reaguje, tylko prowadzi dalsze rozważania na temat maksymalnego stopnia zmniejszenia swojej obecności militarnej w Zatoce. Amerykanie na tym etapie pozostaną w swoich bazach militarnych w Bahrajnie i Katarze, ale nie będą już aktywni militarnie w zakresie interwencji zbrojnych. Zastanawiają się, w jaki sposób wycofać się z Syrii, co barwnie opisał Fareed Zakaria w programie w CNN. Porównał USA do Michaela Corleone z trzeciej części „Ojca chrzes-

tnego”. Gdy Corleone przeprowadził już całą operację przeniesienia swojego majątku do legalnej działalności, rozgrywki mafijne wciągnęły go z powrotem w bagno. W słynnej scenie w filmie Corleone, ekspresyjnie gestykułując, krzyczy: „Wciągają mnie z powrotem”. Tak Zakaria określił ostatnie zamachy na amerykańskich żołnierzy w Syrii. Kiedy Amerykanie marzą, by wynieść się stamtąd, prowokacje irańskie wciągają je z powrotem w bliskowschodnie bagno.

Zwrot ten bierze się z faktu, że Amerykanie nie mają już sił, żeby być policjantem świata, ale co ważniejsze, ranga tego regionu spada dla polityki amerykańskiej. Przez dziesiątki lat bezpieczeństwo energetyczne USA wymagało tego, by Stany były ostatecznym gwarantem porządku na Bliskim Wschodzie. Dzisiaj dzięki rewolucji łupkowej USA są niezależne energetycznie, a poza tym przemysł przyszłości jest związany z nowymi metodami wytwarzania energii i znaczenie węglowodorów w ciągu dekady spadnie. Dlatego Amerykanie będą się konsekwentnie wycofywać z Bliskiego Wschodu i wytwarzającą się próżnię wypełnia porządek postamerykański. Dlaczego to jest tak ważne? Dlatego, że podobny proces budowy świata postamerykańskiego przechodzimy wbrew pozorom w Europie. O tym jednak za chwilę.

Chiny się zbroją

Najważniejszym elementem budowy nowego porządku światowego są Chiny. Od początku tego roku radykalnie (nie boję się tego słowa) przyspieszyły swoje procesy militaryzacyjne. I to na wszystkich szczeblach. Wszyscy żyjemy zagrożeniem Tajwanu, ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Jak już pisałem na łamach NK w mar-

cu tego roku, Chiny wprowadziły nowy system logistyczno-legislacyjny w procesie mobilizacji, uwzględniając porażki mobilizacji rosyjskiej. Uporządkowano kwestie prawne, przekazując uprawnienia legislacyjne Naczelnej Komisji Wojskowej na czas wojny. Jednym słowem wprowadzono nowoczesny (w rozumieniu Chińczyków) system zarządzania krajem na czas wojny.

Chiny zbroją się na potęgę i to w zakresie nowej wojny, a nie tej, która się toczy w Ukrainie. Ta nowa wojna będzie się toczyć w przestrzeni kosmicznej, przy użyciu sztucznej inteligencji

Czy to oznacza, że Pekin planuje przystąpienie do wojny w najbliższym czasie? Jest to skrajnie mało prawdopodobne, ale wprowadzane zmiany są uzupełnieniem procesu szybkiego zbrojenia się Chin. Wedle ocen Pentagonu budżet chińskich sił zbrojnych na rok 2023 istotnie przewyższy kwotę 300 mld dolarów. Chiny zbroją się na potęgę i to w zakresie nowej wojny, a nie tej, która się toczy w Ukrainie. Ta nowa wojna będzie się toczyć w przestrzeni kosmicznej, przy użyciu sztucznej inteligencji, a krytyczne znaczenie będzie miała umiejętność „oślepienia” przeciwnika przy uderzeniu w jego cyfrowe systemy rozpoznania i zarządzania polem walki. Dodatkowo wojna na Ukrainie pokazuje, że masa ma nadal znaczenie i re-

zerwy amunicyjne potrzebne do wielkoskalowej wojny są niezbędne.

Cały czas toczy się dyskusja, czy rzeczywiście Chińczycy, jak sami twierdzą, posiadają zdolności do efektywnego uderzenia w amerykańskie lotniskowce. Dla globalnego morskiego mocarstwa, jakim są Stany Zjednoczone, floty lotniskowców są podstawowym narzędziem ekspozycji siły i zaprowadzania porządku. Jeżeli Chińczycy rzeczywiście mają skuteczną broń, która potrafi zatopić lotniskowce, to podważają samą istotę globalnej aktywności amerykańskiej.

Putin spełnił rolę amerykańskiego pożytecznego idioty, rozpoczynając swoją brutalną agresję na Ukrainę. Zmusił Europę do przywrócenia roli klasycznych zagadnień bezpieczeństwa i wzmocnienia militarnego Starego Kontynentu

I na koniec najważniejsze, czyli broń jądrowa. Wojna w Ukrainie potwierdziła znaczenie broni jądrowej jako jedyne ostatecznego gwaranta bezpieczeństwa. Chiny są w trakcie agresywnego programu zbrojeń jądrowych. Pentagon ocenia, że są na ścieżce do zbudowania „parity” (równej pozycji) z USA w zakresie strategicznej broni jądrowej w roku 2035. Oznacza

to 1500 zdolnych do odpalenia strategicznych głowic jądrowych przy pełnej zdolności do rozwinięcia „atomowej triady”, czyli strategicznego uderzenia z lądu, wody i powietrza. Amerykanie zdają sobie sprawę z wyzwania i w przeglądzie „Nuclear Posture Review 2022” stwierdzają konieczność unowocześnienia swoich sił nuklearnych. Stany Zjednoczone czeka szybkie przystąpienie do nowego wyścigu zbrojeń. I nie będą to zbrojenia na teatr wojenny na historycznych „dzikich ukraińskich stepach”, ale na kosmiczno-morskie i jądrowe starcie z Chinami. Jednym słowem, wyzwanie militarne ze strony Chin nie jest już traktowane jako wyzwanie przyszłości, ale zagrożenie tu i teraz, które wymaga natychmiastowych działań. I o tym piszą autorzy artykułu, kiedy twierdzą, że wyzwanie rosyjskie schodzi na drugi plan. Nawet gdyby cele osłabienia Rosji były spełnione w mniejszym stopniu, a są spełnione z amerykańskiego punktu widzenia w stopniu całkiem sporym.

Europa musi wziąć się w garść

Amerykanie będą się wycofywać z Europy, bo nie mają już wystarczających sił, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, a poza tym Europa ma już mniejsze znaczenie w amerykańskich interesach bezpieczeństwa. Podobnie jak Bliski Wschód, chociaż z innych powodów. Putin spełnił rolę amerykańskiego pożytecznego idioty, rozpoczynając swoją brutalną agresję na Ukrainę. Zmusił Europę do przywrócenia roli klasycznych zagadnień bezpieczeństwa i wzmocnienia militarnego Starego Kontynentu (choć gdyby Chińczycy zrozumieli, o co chodzi ze „Starym Kontynentem”, pewnie pękliby ze śmiechu). Ponadto poza kwestiami finansowymi Amerykanie odnieśli całkiem spore korzyści z przebiegu

wojny. Np. jeszcze w roku 2016 nie eksportowali ani centymetra sześciennego gazu, a przewiduje się, że w roku 2026 będą największym eksporterem na świecie. Oferta rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego znika ze światowych rynków, a amerykański przemysł zbrojeniowy wchodzi w kolejny złoty okres, i to po części dzięki zamówieniom zagranicznym.

Są też i ryzyka, a chyba największym z nich zastępowanie dolara w handlu międzynarodowym innymi walutami. Po to jednak, by zahamować ten proces, konieczne jest również zakończenie wojny. Największe koszty (oczywiście poza bohaterko walczącą Ukrainą) ponosi Europa. Oceniając obecne relacje transatlantyckie musimy to brać pod uwagę. Krytykujemy Emmanuela Macrona za teksty o strategicznej autonomii Europy, ale definiuje on podstawowe wyzwanie, przed którym stoimy. Może co prawda nie zawsze trafnie i zbyt nachalnie w kontekście interesów Francji. Jednak czy nam się to podoba, czy nie, Europa będzie musiała zrewidować strategiczne podstawy swojej polityki bezpieczeństwa.

Musimy wypracować podstawy polityki bezpieczeństwa w Europie w świecie postamerykańskim. Dzisiaj w Stanach Zjednoczonych dyskutuje się o dwóch wariantach militarnego zaangażowania w Europie po zakończeniu wojny. Pierwszy sprowadza się do polityki „nuclear sharing”, czyli – w uproszczeniu – zapewnienia Europie bezpieczeństwa nuklearnego ze strony USA. Drugi dotyczy obecności sił konwencjonalnych w Europie i stopnia, do którego będzie można zmniejszyć zaangażowanie na kontynencie europejskim, podobnie jak na Bliskim Wschodzie. Tak czy inaczej, państwa europejskie będą musiały podjąć w większym stopniu obowiązki zapewnienia sobie bez-

pieczeństwa. Jeżeli tego nie zrobią, Amerykanie i tak będą się wycofywać.

Oczywiście najważniejsze z amerykańskiego punktu widzenia będą relacje z Chinami. Na dzisiaj widzimy jasny model konfrontacji ekonomicznej z Chinami, preferowany przez Waszyngton. Stany Zjednoczone nie chcą zrywania relacji handlowych w całości, ale pilnie wdrażają dwa procesy. Pierwszy to odcinanie Państwa Środka od najnowszych technologii, np. najbardziej nowoczesnych chipów graficznych, które są niezbędne do tego,

Amerykanie w ogóle nie uwzględnili interesów firm europejskich w obszarze najważniejszych technologii przyszłości. Mimo wielu rozmów, żadne postulaty europejskie nie zostały uwzględnione

by rozwijać sztuczną inteligencję. Drugi to legislacyjne i polityczne wyłączenie chińskich technologii cyfrowo-komunikacyjnych ze sprzedaży międzynarodowej. Z drugiej strony Amerykanie wdrażają pełną niezależność całego procesu surowcowo-logistycznego w najbardziej zaawansowanych technologiach cyfrowych i tzw. nowych technologiach produkowania i magazynowania energii. Temu służą dwa potężne akty legislacyjne, czyli CHIPS and Science Act oraz Inflation Reduction Act.

Odłączenie Europy

Tu pojawia się największy – obecnie i w przyszłości – problem w relacjach transatlantyckich. Amerykanie w ogóle nie uwzględnili interesów firm europejskich w obszarze najważniejszych technologii przyszłości. Mimo wielu rozmów, żadne postulaty europejskie nie zostały uwzględnione. Jeżeli szukamy przyczyn największych problemów w relacjach europejsko-amerykańskich, widzimy je właśnie tutaj. Nawet w tych trudnych czasach

Antychińskie pohukiwania naszego premiera w Waszyngtonie nie są do niczego potrzebne. Co Polska dzięki temu zyskuje?

przebudowy globalnych relacji strategicznych i oczekiwań, że Europa będzie ograniczała współpracę technologiczną z Chinami, Stany Zjednoczone nie widzą konieczności uwzględnienia postulatów państw europejskich. I to jest prawdziwy problem, a nie mniej czy bardziej udane wypowiedzi Macrona. W tym przypadku Biden kontynuuje strategię Trumpa, który zerwał rozmowy na temat transatlantyckiej strefy wolnego handlu, a dzisiaj wdraża ustawy, który „odłączają” Europę w zakresie najbardziej nowoczesnych dziedzin gospodarki.

Proces przenoszenia wielowymiarowej uwagi strategicznej USA na Pacyfik nie oznacza, że Amerykanie znikną z Europy z dnia na dzień. Współpraca w ramach Zachodu jest dla nich bardzo ważna, bo

to jest dla nich podstawowa grupa państw o wspólnych wartościach i w większości wspólnych interesach. Zmienia się jednak charakter obecności amerykańskiej w Europie.

Jak w tym wszystkim wyglądają polskie interesy i polska polityka? Problem polega na tym, że nie znam żadnej koncepcji polskiego interesu, którym kieruje się nasz rząd w tej wojnie. Owszem, prowadzimy politykę proukraińską i proamerykańską, bo w naszym interesie jest wygranie wojny przez Ukrainę i ocalenie wolności i niepodległości kraju. Bez jednoczesnego zaangażowania amerykańskiego Ukraina by tę wojnę już przegrała. Jeżeli agresywne imperium nie zostanie zatrzymane na Dnieprze, to będzie parło dalej. Ale czy to powinno wyczerpywać nasze oczekiwania?

Nie ma polityki amerykańskiej w Polsce

Już dzisiaj widać, że nie ma żadnych specjalnych relacji polsko-amerykańskich, które będą fundamentem naszej przyszłej polityki. Nie ma żadnych nowych trwałych amerykańskich inicjatyw bezpieczeństwa w Polsce, wychodzących poza horyzont wojny. Nie można za takie uznać miliardowych zamówień w sektorze zbrojeniowym ze strony polskiego MON. Poza tym twierdzą, że Polska i tak nie będzie zdolna finansowo zrealizować wszystkich zamówień i to w trakcie innych, kosztownych, idących w miliardy inwestycji chociażby w energetyce. Swoją drogą, polska opinia publiczna nie poznała żadnych konkretnych wyliczeń, ile ten program zbrojeń będzie kosztował i w jaki sposób zostanie sfinansowany. Polska w trakcie wojny nie uzyskała nawet sprawczości politycznej, która pozwoliłaby wpływać na warunki

jej zakończenia, które jak twierdzą, właśnie się tworzą. Polska jako kraj, który poza Ukrainą ponosi największe koszty i ryzyka tej wojny powinna mieć miejsce przy politycznym stole, przy którym będą negocjowane warunki pokoju. Mało tego: realny jest wariant, że Polska zostanie np. wepchnięta w gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy tylko ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią. Brak w tym gronie Niemiec i Francji byłby wielką tragedią i mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Polska powinna wykorzystać swoją szczególną pozycję w trakcie wojny do zbudowania wpływów w Europie. Stany Zjednoczone będą się z Europy wycofywać, a Polska w niej zostanie. Nasze polityczne 5 minut mija, a żaden polityczny problem Polski w Europie w ostatnim czasie nie został rozwiązany. Nasze szczególne relacje z USA w niczym tutaj nie pomogły. Nawet ostatnia wizyta premiera Morawieckiego w USA to zmarnowana okazja. W trakcie transatlantyckiej wymiany poglądów premier polskiego rządu ma prawo i nawet obowiązek wypowiadać się w interesie Unii. Amerykanie również ze strony polskiego rządu powinni usłyszeć, że protekcyjnista polityka amerykańska w zakresie nowych technologii podcina podstawy sojuszu i szkodzi relacjom transatlantyckim. W niczym by to relacji polsko-amerykańskich nie zepsuło, a pokazałoby premiera polskiego rządu jako polityka formatu europejskiego. Antychińskie

pohukiwania naszego premiera w Waszyngtonie nie są do niczego potrzebne. Co Polska dzięki temu zyskuje? Poza tym wygląda to groteskowo, bo jeszcze niedawno, tuż przed rosyjską agresją w lutym 2022 roku Prezydent Andrzej Duda był jednym z niewielu przywódców Zachodu, którzy gościli na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Pekinie i wtedy budowaliśmy naszą suwerenną, niezależną od Zachodu politykę wobec Chin. Jaka będzie nasza polityka za rok?

Wchodzimy w nowy etap wojny na Ukrainie i dynamicznie w nowy etap tworzenia się porządku światowego. Fala uzbrojenia, która płynie na Ukrainę jest największa ze wszystkich i następnych tak dużych nie będzie. Powinniśmy robić wszystko żeby zwiększyć szansę Ukrainy na sukces ofensywy. Czym większy sukces Ukrainy, tym lepiej. Najlepszy byłby pełny sukces wypchnięcia Rosji poza granice z 1991 roku, ale jak pisze Richard Haass, jest to „wyoce nieprawdopodobne”. Powinniśmy się przygotować jednocześnie do negocjacji pokojowych, które nastąpią niezależnie od przebiegu i zakończenia ofensywy. Nie ma wątpliwości, że taka wiedza nie sprzyja Ukrainie, ale taki jest urok demokracji, gdzie duża część debaty toczy się publicznie. Musimy jednocześnie uwzględnić proces wycofywania się USA z Europy i umiejętnie nim zarządzać. Wolelibyśmy żeby było inaczej, ale takie są globalne trendy.

136 lat więzienia dla Trumpa? Finlandia w NATO | Niezbędnik Zagraniczny NK 01-07.04.2023



TOMASZ GAJEWSKI

Politolog, doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; analityk w Fundacji Po.Int; specjalizuje się w studiach nad wpływem nowoczesnych technologii oraz zmian klimatu na system międzynarodowy i globalne środowisko bezpieczeństwa

O czym Macron rozmawiał z Xi? Jak Rosja odpowie na rozszerzenie NATO? Kim jest nowy prezydent Czarnogóry?

Rozszerzenie NATO. Flaga Finlandii została uroczystie wciągnięta na maszt przed kwaterą główną Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego w Brukseli. Rozszerzenie NATO symbolizuje historyczną zmianę w europejskiej architekturze bezpieczeństwa, wywołaną przez rosyjską inwazję na Ukrainę. Przystąpienie Finlandii, kończące siedem dekad jej neutralności niemal podwaja długość granicy NATO z Rosją i wzmacnia wschodnią flankę Sojuszu. W Virolahti, niedaleko granicy z Rosją, emerytowany saper Ilkka Lansivaara wywiesił flagę NATO: „to szczególny dzień dla Finlandii, teraz mamy za sobą siłę, a nie tylko własne wojska”. Fiński prezydent, Sauli Niinistö oświadczył, że jest to „wielki dzień dla Finlandii i ważny dzień dla NATO”. „Prezydent Rosji Władimir Putin traktował rozszerzenie NATO na wschód jako jedno z uzasadnień inwazji na Ukrainę. Otrzymuje dziś coś dokładnie przeciwnego. Finlandia dzisiaj, a wkrótce także Szwecja stanie się pełnoprawnym członkiem organizacji” – oświadczył se-

kretarz generalny Sojuszu, Jens Stoltenberg. Wniosek Szwecji został zablokowany przez Turcję i Węgry. Szwedzki minister spraw zagranicznych Tobias Billström powiedział dziennikarzom, że Sztokholm ma nadzieję zostać członkiem Sojuszu na lipcowym szczycie w Wilnie. Wywołane przez inwazję rosyjską zmiany w środowisku bezpieczeństwa stały się też przyczyną zainicjowania debaty na temat neutralnego statusu w Irlandii.

Władze w Moskwie oświadczyły tymczasem, że Rosja jest zmuszona do podjęcia „środków zaradczych”. Rzecznik Kremla, Dmitrij Pieskow powiedział, że Sojusz rozszerza się w kierunku Rosji, a nie odwrotnie i dlatego Moskwa musi podjąć kroki w celu ochrony własnego bezpieczeństwa. Bronił w ten sposób decyzji o rozmieszczeniu niestrategicznej broni jądrowej na Białorusi, której prezydent, Alaksandr Łukaszenka, spotkał się w Moskwie z Władimirem Putinem. Rosja nie podała jasnego harmonogramu działań w tym zakresie. Będzie to pierwsze roz-

mieszczenie części rosyjskiego arsenału nuklearnego poza jej granicami od czasu rozpadu ZSRR.

Ukraina: bez przełomów na froncie.

Siły rosyjskie kontynuują operacje ofensywne w Bachmucie i jego okolicach, czyniąc postępy na północ i północny wschód od miasta. Źródła rosyjskie twierdzą, że najemnicy z Grupy Wagnera zajęli także szkołę na zachód od stadionu Metallurg w jego centrum. Ukraiński Sztab Generalny poinformował natomiast, że podległe mu siły odparły ataki w pobliżu Bohdaniwki na północny zachód oraz Iwaniwskie na południowy zachód od miasta. Institute for the Study of War informuje, że biorące udział w najdłuższej bitwie tej wojny rosyjskie jednostki powietrznodesantowe, prawdopodobnie otrzymały wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe TOS-1, które wykorzystują amunicję termobaryczną. Według analityków amerykańskiego ośrodka, nie zapewni to jednak przewagi siłom rosyjskim. Prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski oświadczył podczas wizyty w Polsce, że ukraińskie wojska stoją w obliczu bardzo trudnej sytuacji w Bachmucie i że Kijów wycofa żołnierzy, by uniknąć okrążenia. Zarówno prezydent, jak i dowództwo ukraińskiej armii podkreślają, że w tej chwili takie niebezpieczeństwo jednak nie występuje.

Walki trwają także w rejonie Awdijiwki. Na południowym odcinku frontu, gdzie Rosjanie prowadzą przede wszystkim działania obronne, trwa wymiana ognia artyleryjskiego i potyczki małych oddziałów piechoty.

Donald Trump usłyszał zarzuty. Prokurator okręgowy nowojorskiego Manhattanu Alvin Bragg postawił byłemu prezydentowi 34 zarzuty karne. Donald

Trump stał się tym samym pierwszym byłym amerykańskim prezydentem, któremu postawiono takie zarzuty. Chodzi m.in. o fałszowanie dokumentacji finansowej, związanej z działaniami na rzecz tłumienia negatywnych informacji na temat Trumpa, kiedy ten był jeszcze kandydatem na prezydenta. Ówczesny prawnik byłego prezydenta, Michael Cohen, miał wtedy zapłacić aktorce filmów pornograficznych, Stormy Daniels, 130 tys.

Dmitrij Pieskow powiedział, że Sojusz rozszerza się w kierunku Rosji, a nie odwrotnie i dlatego Moskwa musi podjąć kroki w celu ochrony własnego bezpieczeństwa. Bronił w ten sposób decyzji o rozmieszczeniu niestrategicznej broni jądrowej na Białorusi

dolarów w zamian za milczenie w sprawie romansu z Trumpem. Akt oskarżenia mówi także o tuszowaniu innych relacji pozamałżeńskich.

Donald Trump nie przyznał się do winy. Nazwał śledztwo Bragga motywowanym politycznie „polowaniem na czarownicę”. Wezwał też do zaprzestania finansowania Departamentu Sprawiedliwości oraz Federalnego Biura Śledczego. Zgodnie z prawem stanu Nowy Jork, grozi mu maksymalnie 136 lat pozbawienia wolności.

Tsai Ing-wen w Kalifornii. Republikański spiker amerykańskiej Izby Reprezentantów gościł w środę w Kalifornii prezydent Tajwanu. Kevin McCarthy – trzeci najwyższy urzędnik w amerykańskiej hierarchii – oraz inni republikańscy i demokratyczni prawodawcy, spotkali się z Tsai w Bibliotece Prezydenckiej Ronalda Reagana w Simi Valley w Kalifornii, pomimo groźby odwetu ze strony Chin. Rzecznik chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych potępił spotkanie, oskarżając Stany Zjednoczone o „zmowę z separatystami dążącymi do niepodległości Tajwanu”. Stojąc z Tsai przed niebiesko-białym samolotem Boeinga, którym Reagan latał jako prezydent w latach 80.,

Ówczesny prawnik byłego prezydenta, Michael Cohen, miał wtedy zapłacić aktorce filmów pornograficznych, Stormy Daniels, 130 tys. dolarów w zamian za milczenie w sprawie romansu z Trumpem

McCarthy nazwał przyjaźń między mieszkańcami Tajwanu i Ameryki „sprawą o ogromnym znaczeniu dla wolnego świata” i podkreślił potrzebę przyspieszenia dostaw broni w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Chin. Mike Gallagher, republikański kongresman, oświadczył natomiast, że chciałby poszukać sposobów na dostarczenie pocisków przeciwokrętowych Harpoon na Tajwan przed planowaną dostawą do Arabii Saudyjskiej.

Władze chińskiej prowincji Fujian rozpoczęły tymczasem trzydniową specjalną operację patrolowo-inspekcyjną w Cieśninie Tajwańskiej, która obejmuje wejście na pokład statków. Tajpej oświadczyło, że nie ma zamiaru się podporządkować. W środę tajwańskie ministerstwo obrony poinformowało natomiast, że grupa bojowa chińskiego lotniskowca „Shandong” operowała u południowo-wschodniego wybrzeża wyspy. Chińska reakcja jest jednak mniej gwałtowna niż w przypadku ubiegłorocznej wizyty ówczesnej spikerki Izby, Nancy Pelosi, na Tajwanie.

Emmanuel Macron i Ursula von der Leyen w Chinach. W czasie bacznie obserwowanych rozmów, prezydent Francji i szefowa Komisji Europejskiej dyskutowali z chińskim przywódcą formy potencjalnego zaangażowania Pekinu w przekonanie Rosji do zakończenia agresji na Ukrainę. Xi Jinping miał wyrazić gotowość do rozmów z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zeleńskim – dowiedziała się agencja Reuters od zastrzegającego anonimowość francuskiego dyplomaty. Prezydent Macron powiedział, że Zachód musi zaangażować Chiny, by zapobiec eskalacji. Xi we własnych komentarzach po spotkaniach nie wspominał jednak o ewentualnej rozmowie z Zeleńskim. Według nieoficjalnych informacji, do których dotarł Reuters, prezydent Macron wezwał Xi, by nie dostarczał broni Rosji, na co Xi miał odpowiedzieć, że to „nie jego wojna”. Francja stwierdziła, że rozmowy między przywódcami były „szczere i konstruktywne”, podczas gdy Chiny określiły je jako „przyjazne” i „dogłębne”. Macron poprosił również chińskiego przywódcę, by naciskał na Rosję w sprawie przestrzegania międzynarodowych zasad dotyczących nierozprzestrzeniania broni jądrowej.

Xi stwierdził, że wszystkie kraje powinny honorować zobowiązania dotyczące nieuzyskania broni jądrowej, nie wspominając o Rosji.

Ciąg dalszy protestów we Francji.

Demonstracje przeciwko reformie systemu emerytalnego na ulicach francuskich miast stają się coraz bardziej gwałtowne. Związki zawodowe wezwały w czwartek wieczorem do kolejnego dnia ogólnokrajowych protestów, które mają odbyć się 13 kwietnia. Sondaże pokazują, że zdecydowana większość Francuzów sprzeciwia się ustawie emerytalnej. Źródło bliskie Pałacowi Elizejskiemu powiedziało agencji Reuters,

Prezydent Macron wezwał Xi, by nie dostarczał broni Rosji, na co Xi miał odpowiedzieć, że to „nie jego wojna”

że nie to jest jednak najważniejsze. „Jeżeli rolą prezydenta republiki jest podejmowanie jedynie decyzji zgodnych z opinią publiczną, nie ma potrzeby przeprowadzania wyborów” – dodał zastrzegający anonimowość urzędnik. „Bycie prezydentem polega na dokonywaniu wyborów, które mogą być niepopularne” – podkreślił. Przywódcy związkowi i protestujący utrzymują tymczasem, że jedynym sposobem wyjścia z kryzysu jest zniesienie nowych przepisów. Liczba protestujących w czwartek była jednak mniejsza w porównaniu z poprzednim tygodniem. Według związkowców, na ulicach Paryża demonstrowało około 400 tys. osób (w porównaniu z 450 tys. tydzień wcześniej). Ministerstwo spraw

wewnętrznych poinformowało natomiast, że w paryskich protestach uczestniczyło 57 tys. osób w porównaniu z 93 tys. tydzień wcześniej. W czwartek, w całym kraju, na ulicę wyszło 570 tys. ludzi (w porównaniu z 740 w ubiegłym tygodniu). Policyjne szacunki wskazują, że liczba osób biorących w demonstracjach będzie nadal spadać.

Rada Konstytucyjna ogłosi 14 kwietnia werdykt w sprawie kontrowersyjnej reformy. Eksperti twierdzą, że jest mało prawdopodobne, aby rada obaliła ustawę. Ocenia się, że może osłabić protesty.

Czarnogóra ma nowego prezydenta.

Wieloletni przywódca Czarnogóry, Milo Đukanović przegrał z ekonomistą Jakovem Milatovićem, który zdobył prawie 60 proc. głosów. W głosowaniu wzięło udział – według danych Państwowej Komisji Wyborczej – 69 proc. uprawnionych. Đukanović odejdzie z czarnogórskiej sceny politycznej po ponad 30 latach, w czasie których dwukrotnie był prezydentem i siedem razy premierem. Zwycięstwo 36-letniego Milatovicia – nowej postaci na czarnogórskiej scenie politycznej – odzwierciedla zmęczenie wyborców odchodzącym przywódcą i rozczarowanie politykami tradycyjnych partii. Chociaż prezydentura jest w Czarnogórze w dużej mierze urzędem ceremonialnym, wpływa ona na trendy polityczne w kraju.

Milatović, zajął się polityką w 2020 roku po ukończeniu edukacji w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Nowy szef państwa zobowiązał się do utrzymania kraju na kursie, prowadzącym do członkostwa w UE, wzmocnienia więzi z NATO i przestrzegania międzynarodowych sankcji wobec Rosji. Chociaż ugrupowanie Europe Now Milatovicia nie jest formalnie częścią koalicji rządzącej, jego kandydatura

uzyskała poparcie względnie słabego sojuszu, w skład którego wchodzi także partie opowiadające się za bliższymi związkami z sąsiednią Serbią oraz Rosją. Milatović odrzuca te twierdzenia.

Niespokojnie na Bliskim Wschodzie.

Izraelska policja dokonała nalotu na meczet Al-Aqsa w Jerozolimie. Celem operacji było usunięcie zamaskowanych mężczyzn, którzy zamknęli się w środku świątyni. Wcześniejsze negocjacje nie przyniosły rezultatu. Kilka godzin po aresztowaniu i usunięciu ponad 350 osób i pomimo apeli Stanów Zjednoczonych o złagodzenie napięcia, doszło do kolejnego starcia w meczecie. W oświadczeniu policja stwierdziła, że dziesiątki młodych ludzi wniosło do meczetu kamienie oraz petardy i próbowało zabarykadować się w środku. Według zarządzającej obiektem, wyznaczonej przez Jordanię organizacji Waqf, izraelska policja weszła do meczetu przed zakończeniem modlitw.

Konfrontacje podczas muzułmańskiego świętego miesiąca Ramadanu i w przeddzień żydowskiego święta Paschy podnoszą i tak już wysokie napięcie w regionie. W odpowiedzi na zajścia w Al-Aqsa Hamas przeprowadził ostrzał rakietowy Izraela z terenu kontrolowanej przez siebie Strefy Gazy. Z Libanu wystrzelono natomiast 34 rakiety, z których 25 zostało przechwyconych przez system Żelazna Kopuła. Rakiety z Libanu – według źródeł izraelskich – wystrzelił Hamas, który jednak nie mógł działać bez zgody kontrolującego ten kraj proirańskiego Hezbollahu. Premier Izraela Benjamin Netanjahu obiecał odpowiedzieć zdecydowanie na ostrzały. Ostatnie wydarzenia komplikują i tak już trudną sytuacją szefa izraelskiego rządu, który zmaga się głębokim kryzysem, wynikającym ze społecznego sprzeciwu wobec

reformy sądownictwa. W kwestii reakcji na ostrzały rakietowe może jednak liczyć na pełne poparcie opozycji. Tymczasem międzynarodowa presja na Izrael konsekwentnie wzrasta. Liga Arabska zwołała nadzwyczajne spotkanie, po którym potępiła nalot. Chiny, które niedawno wynegocjowały porozumienie irańsko-saudyjskie chcą, by sytuacją zajęła się Rada Bezpieczeństwa ONZ.

Według związkowców, na ulicach Paryża demonstrowało około 400 tys. osób (w porównaniu z 450 tys. tydzień wcześniej)

Arabia Saudyjska i Iran przywracają stosunki dyplomatyczne. Wieloletni rywale zrobili w czwartek kolejny znaczący krok w kierunku normalizacji relacji dwustronnych, Porozumienie między Rijadem a Teheranem zostało osiągnięte w Pekinie. Umowa zmniejsza ryzyko konfliktu zbrojnego między rywalami – zarówno bezpośredniego, jak i zastępczego (*proxy*) na regionalnych teatrach konfliktów. Może to wzmocnić wysiłki dyplomatyczne zmierzające do zakończenia wojny domowej w Jemenie, konfliktu, w który zarówno Iran, jak i Arabia Saudyjska są głęboko zaangażowane. Irański minister spraw zagranicznych Hossein Amirabdollahian oświadczył, że zapoczątkowano „oficjalne stosunki dyplomatyczne, współpracę gospodarczą i handlową, ponowne otwarcie ambasad i konsulatów generalnych oraz prace na rzecz stabilności, bezpieczeństwa

i rozwoju regionu”. Oficjalna irańska agencja informacyjna IRNA poinformowała także, że oprócz ponownego otwarcia ambasad w obu stolicach, misje dyplomatyczne rozpoczną działalność w dwóch dużych miastach – Meshhedzie w Iranie i Dżuddzie w Arabii Saudyjskiej. Wznowienie relacji stanowi również kolejne dyplomatyczne zwycięstwo Chin. Państwa

Rzeczniczka chińskiego MSZ, Mao Ning, oświadczyła, że ocieplenie więzi między Iranem i Arabią Saudyjską pokazuje „wolę i zdolność objęcia przywództwa” w utrzymaniu pokoju w regionie

Zatoki Perskiej uważają, że Stany Zjednoczone stopniowo wycofują się z regionu. Rzeczniczka chińskiego MSZ, Mao Ning oświadczyła, że ocieplenie więzi pokazuje „wolę i zdolność objęcia przywództwa” w utrzymaniu pokoju w regionie. „Kolonialna, hegemoniczna taktyka wzbudzania sprzeczności i podziałów powinna zostać odrzucona przez ludzi na całym świecie” – dodała chińska dyplomatka.

Z niezapowiedzianą wizytą do Rijadu przybył tymczasem szef Centralnej Agencji Wywiadowczej, William Burns. Według źródeł CNN miał on wyrazić amerykańską dezaprobatę dla ostatnich działań Królestwa. Obie strony podkreślają jednak wolę kontynuacji głębokiej współpracy wywiadowczej i szerszej kooperacji w dziedzinie bezpieczeństwa.

Koniec stanu klęski w RPA. Rząd Republiki Południowej Afryki w środę zakończył stan klęski żywiołowej, który ogłosił dwa miesiące temu, by poradzić sobie z kryzysem energetycznym. Obserwatorzy twierdzą jednak, że nic nie wskazuje na to, by problemy się skończyły. Najlepiej rozwinięta gospodarka Afryki wciąż zмага się z trwającymi w całym kraju przerwami w dostawach prądu (obecnie przez sześć godzin dziennie), spowodowanymi awariami infrastruktury państwowej firmy energetycznej Eskom. Prognozy koncernu wskazują, że południowoafrykańskie firmy i 60 milionów obywateli będą zmagać się z przerwami z zakłóceniami co najmniej przez kolejny rok. Stan klęski żywiołowej pozwolił zwolnić z przerw w dostawie prądu instytucje, świadczące podstawowe usługi, takie jak szpitale i stacje uzdatniania wody. Uwolniono także publiczne środki na zakup w trybie awaryjnym dodatkowej mocy z krajów sąsiednich.

Według opinii ekspertów przyczyną awarii są lata złego zarządzania i korupcji w Eskom, który walczy o utrzymanie starzejących się elektrowni węglowych. Firma nie była w stanie zapewnić stałych dostaw energii elektrycznej i przez lata polegała na przerwach w dostawie prądu, by ją oszczędzać. Cięcia w 2022 r. były jednak najgorsze, jakich doświadczył kraj. Ekonomiści stwierdzili, że były one kluczowym czynnikiem przyczyniającym się do skurczenia się gospodarki o 1,3 proc. w czwartym kwartale ubiegłego roku. Wynik ten wzbudził obawy, że RPA znajduje się na krawędzi recesji.

Cholera w Mozambiku. Kilka tygodni po tym, jak potężny cyklon Freddy uderzył w Mozambik, kraj stoi w obliczu epidemii

cholery. Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej poinformowało, że w ośmiu prowincjach kraju odnotowano ponad 19 tys. potwierdzonych przypadków tej choroby. Liczba ta prawie podwoiła się w ciągu tygodnia. Freddy uderzył szczególnie mocno w prowincji Zambézia, gdzie dziesiątki wiosek nadal pozostają zalane, a zasoby wody są zanieczyszczone. W szpitalu w Quelimane, stolicy prowincji, notuje się 600 nowych potwierdzonych przypadków dziennie. Rzeczywista liczba może sięgać nawet 1 tys. Najwięcej na obrzeżach miasta, gdzie większość mieszkańców mieszka w bambusowych lub glinianych chatach i czerpie wodę w wiadrach ze wspólnych studni. Wskutek powodzi spowodowanej cyklonem, do wielu z tych studni dostała się woda zanieczyszczona ściekami i innymi źródłami bakterii. Obszary wiejskie wokół miasta stoją także w obliczu innych zagrożeń. Wiele wiosek i pól wciąż znajduje się pod wodą, a wilgoć spowodowała namnożenie komarów przenoszących malarie.

Wolontariusze chodzą od domu do domu, rozdając butelki Certezy – oczyszczacza wody na bazie chloru. Każda butelka powinna wystarczyć rodzinie na tydzień, ale zapasy są na wyczerpaniu, ponieważ lokalna produkcja nie jest w stanie nadążyć za zapotrzebowaniem. Nie ma również wystarczającej liczby ludzi do dystrybucji płynu. Przywrócenie normalnych dostaw wody w Mozambiku potrwa, ponieważ wiele uszkodzonych rurociągów biegnie przez obszary, które są nadal niedostępne. Freddy uderzył tuż przed głównymi zbiorami. Przeniósł również wodę morską w głąb lądu, zagrażając długoterminowej żyzności gleby na obszarze szczególnie narażonym na braki żywności.

Chińska inwestycja w Nigerii. Senat w Abudży zatwierdził China Development Bank jako nowy podmiot finansujący krajowy projekt budowy linii kolejowej Kaduna-Kano. Koszt inwestycji szacowany jest 973 mln dolarów. Wcześniej, inny chiński pożyczkodawca – Exim Bank – wycofał się z projektu. Ustupujący prezydent, Muhammadu Buhari, uczynił modernizację sieci transportowej i przestarzałych sieci energetycznych filarem swojej administracji. Celem było pobudzenie rolnictwa i innych gałęzi przemysłu, niezwiązanych z ropą naftową i zmniejszyć zależność od jej wydobycia. Głównym ograniczeniem było jednak finansowanie. Parlament Nigerii zatwierdził zaciągnięcie kilku miliardów dolarów pożyczek na projekty modernizacyjne od chińskich i innych pożyczkodawców, ale środki jeszcze nie pojawiły się w kraju. Po opóźnieniach ze strony chińskich pożyczkodawców, w 2022 roku Nigeria zwróciła się do Standard Chartered Bank o pożyczkę na sfinansowanie linii Kano-Maradi, która połączy północne stany Kano, Jigawa i Katsina. Rząd postanowił jednak wrócić do współpracy z chińskimi instytucjami finansowymi.

Kondycja infrastruktury transportowej i sieci energetycznych Nigerii od dziesięcioleci hamują wzrost gospodarczy w największej gospodarce Afryki, gdzie 40 proc. ludzi żyje poniżej granicy ubóstwa. Buhari opuści urząd w maju po przekazaniu go prezydentowi Boli Tinubu, który obiecał rozwiązać wiele problemów.

Nie dla impeachmentu prezydent Peru. Kongres Peru odrzucił we wtorek wniosek lewicowych deputowanych o wszczęcie procedury impeachmentu prezydent Diny Boluarte. Na szefowej państwa ciężą zarzuty związane z przy-

padkami śmierci demonstrantów w czasie ostatnich niepokojów w kraju. We wtorkowym głosowaniu, 37 w większości lewicowych posłów głosowało za wnioskiem o impeachment prezydent. Wnioskodawcy potrzebowali jednak 52 głosów. Peru od lat pogrążone jest w konflikcie politycznym. Kilku byłych prezydentów zostało usuniętych z urzędu lub aresztowanych. W grudniu ubiegłego roku spotkało to prezydenta, Pedro Castillo, który został osadzony w więzieniu. Wywołało to gwałtowne protesty jego zwolenników. W demonstracjach zginęło ponad 50 osób. Partie opozycyjne obwiniają za to prezydent Boluarte, która była wiceprezydentem w administracji Castillo i zastąpiła go na stanowisku. Biuro prokuratora generalnego prowadzi także sprawę w sprawie domniemanego prania pieniędzy i przestępstw związanych z finansowaniem kampanii Boluarte.

Broń dla obywateli Ekwadoru. Prezydent Guillermo Lasso zezwolił na noszenie i używanie broni przez ludność cywilną, powołując się na obniżający się poziom bezpieczeństwa. Cywile będą również mogli nosić i używać puszek z gazem pieprzowym. Prezydent ogłosił również stan wyjątkowy w portowym mieście Guajakil, w sąsiednich ośrodkach Duran i Samborondon, a także w prowincjach Santa Elena i Los Rios. Stan wyjątkowy, który rozpoczął się w niedzielę, obejmie godzinę policyjną w dotkniętych regionach od 1 w nocy do 5 rano. Nie wiadomo, jak długo potrwa. Lasso walczy z rosnącą przestępczością oraz przemocą na ulicach i w więzieniach, za które obwiniane są handlujące narkotykami gangi. Prezydent stoi również w obliczu impeachmentu w związku z zarzutami o malwersację.

Geopolityka kabli podmorskich.

Chińskie państwowe firmy telekomunikacyjne opracowują wartość 500 milionów dolarów podmorską światłowodową sieć kablową EMA – dowiedziała się agencja Reuters. Ma ona połączyć Azję, Bliski Wschód i Europę. Plan jest kolejną oznaką nasilającej się rywalizacji technologicznej między Pekinem a Waszyngtonem. Grozi ona rozczłonkowaniem („bałkanizacją”) sieci internetowej. Trzech głównych chińskich operatorów – China Telecom, China Mobile Limited i China Unicom – tworzy jedną z najbardziej zaawansowanych podmorskich sieci kablowych na świecie. Kabel łączyłby Hongkong z wyspiarską prowincją Hainan w Chinach, a następnie prowadziłyby do Singapuru, Pakistanu, Arabii Saudyjskiej, Egiptu i Francji. Kabel, którego ukończenie ma kosztować około 500 milionów dolarów, ma zostać wyprodukowany i położony przez chińską firmę HMN Tech. To konkurencja dla podobnego, realizowanego przez amerykańską firmę SubCom, projektu o nazwie SeaMeWe-6. Konsorcjum zajmujące się tym kablem – pierwotnie obejmujące China Mobile, China Telecom, China Unicom i operatorów telekomunikacyjnych z kilku innych krajów – początkowo wybrało HMN Tech do realizacji przedsięwzięcia. Jednak udana kampania nacisków amerykańskiego rządu USA doprowadziła do przejścia kontraktu przez SubCom w zeszłym roku. Rząd Stanów Zjednoczonych, zaniepokojony przechwytywaniem danych przez Pekin udaremnił także realizację kilku innych chińskich projektów podmorskich kabli za granicą w ciągu ostatnich czterech lat.

Kable podmorskie obsługują ponad 95 proc. całego międzynarodowego ruchu internetowego. Są one jednak podatne na penetracje przez wywiady i akty sabo-

tażu. Kabel EMA, który ma zostać skonstruowany do końca 2025 roku, dałby Chinom strategiczne korzyści w rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi – powiedziała agencji Reuters jedna z osób zaangażowanych w projekt. Powstałoby dzięki niemu superszybkie nowe połączenie między Hongkongiem, Chinami i większością świata, czego Waszyngton chce uniknąć. Zapewniłoby to również chińskim firmom większy zasięg i ochronę na wypadek wykluczenia ich z kabli kontrolowanych przez Stany Zjednoczone w przyszłości. – To tak, jakby każda ze stron uzbrajała się w przepustowość – powiedział jeden z managerów pracujących nad umową.

Za pośrednictwem Genesis Market cyberprzestępcy od 2018 roku mogli uzyskiwać dostęp do milionów przejętych danych logowania

Potworem ciasteczkowym w cyberprzestępców. Organy ścigania w Stanach Zjednoczonych i Europie poinformowały w środę, że zlikwidowały nielegalną platformę internetową Genesis Market. Za jej pośrednictwem cyberprzestępcy od 2018 roku mogli uzyskiwać dostęp do milionów przejętych danych logowania. W toku operacji – noszącej kryptonim „Potwór ciasteczkowy” – urzędnicy przejęli 11 nazw domen powiązanych z Genesis Market i aresztowali około 120 użytkowników na całym świecie. Departament Sprawiedliwości poinformował, że Genesis

Market zapewnił użytkownikom dostęp do danych pobranych z ponad 1,5 miliona zainfekowanych złośliwym oprogramowaniem. „Podziemne rynki, które sprzedają skradzione dane uwierzytelniające, nie są niczym nowym, Genesis Market był jednak jednym z pierwszych, który skupił się na internetowych odciskach palców i plikach cookie przeglądarki, by umożliwić przejmowanie kont pomimo rosnącego wykorzystania uwierzytelnienia wieloskładnikowego” – oświadczyli badacze Trellix, firmy, która wspierała funkcjonariuszy w dochodzeniu. Wyspecjalizowana przeglądarka oferowała klientom, „przejęcie konta była dziecinnie prosta dla przestępców” – stwierdza jej raport. Strona była reklamowana na kilku, głównie rosyjskojęzycznych forach. Kierownik ds. analizy zagrożeń Trellix, John Fokker, powiedział, że usunięcie „będzie miało znaczący wpływ na działania cyberprzestępców skupionych na wykorzystaniu skradzionych danych uwierzytelniających przez resztę roku”. Przyznał on jednak, że ludzie, którzy prowadzili stronę, najprawdopodobniej nie zostaną aresztowani, ponieważ są w Rosji. Zwykle po takich operacjach przestępcy przegrupowują się w innych miejscach sieci.

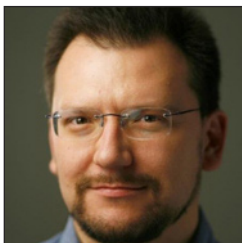
Nowy „doomsday plane” dla amerykańskiej floty wojennej. Northrop Grumman, Lockheed Martin’s Skunk Works i Raytheon Intelligence and Space łączą siły, by złożyć ofertę produkcji nowego samolotu, który zapewni ciągłość dowodzenia i komunikacji strategicznej amerykańskiej Marynarki Wojennej w warunkach konfliktu nuklearnego. Chodzi o samolot typu TACAMO (*Take Charge and Move On*), który jest w stanie przekazywać rozkazy oddania salwy wyposażonym w pociski balistyczne okrętom po-

dwudnym na niskich i bardzo niskich częstotliwościach lub dowodzić operacjami skrzydeł rakiet strategicznych. Nowy samolot ma stopniowo zastąpić starzejące się 16 maszyn E-6B, które znajdują się na wyposażeniu dwóch, stacjonujących w bazie lotniczej Tinker w Oklahomie eskadr („Ironmen” i „Shadows”). Marynarka Wojenna zdecydowała się wykorzystać Lockheed Martin C-130J-30 Super Her-

cules – wersję samolotu z kadłubem dłuższym o nieco ponad 4,5 m – jako platformę dla nowego samolotu TACAMO.

Nie jest jeszcze jasne, jakie inne firmy będą konkurować o realizację programu. Kontrakt na produkcję nowego samolot zostanie podpisany na początku 2025 roku. Amerykańskiej flocie zależy na jak najszybszym wprowadzeniu nowego sprzętu do służby.

Walkirie w garsonkach. Feministyczna polityka zagraniczna w RFN



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Doktor historii, publicysta

Jak zastosować „feministyczny odruch” w niemieckiej polityce bliskowschodniej? Zamrozić relacje z Iranem, sięgnąć po wszelkie możliwe sankcje, wspierać na szerszą na dotąd skalę radykalną opozycję – czy jednak rozmawiać o nieprolifracji?

Wytyczne w sprawie prowadzenia feministycznej polityki zagranicznej niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych (Auswärtiges Amt) opublikowało już cztery tygodnie temu, ale trwa generowanie aktów wykonawczych i, jak można przypuszczać, przygotowania do prawdziwej karuzeli kadrowej, którą spowodować musi realizacja postulatu „zapewnienia wszystkim pracownikom służby dyplomatycznej równych szans”. Ostatecznie, jak dotąd (według przytaczanych przez Ośrodek Studiów Wschodnich danych niemieckiego MSZ za rok 2022) kobiety stanowiły wprawdzie niemal równo połowę zatrudnionych w resorcie, ale – cytując ministerstwo – stanowiły one „jedynie” 34% kadry kierowniczej.

Parytety zawsze w modzie

To musi się zmienić, zresztą również Federalny Urząd Statystyczny RFN gani MSZ, które znajduje się na ostatnim miejscu pod względem liczby kobiet na stanowiskach kierowniczych, gdy mowa

o urzędach federalnych. To musi się zmienić na szczeblu całego państwa (do końca 2025 r. kobiety mają obsadzać połowę stanowisk kierowniczych w instytucjach publicznych), ale warto, by MSZ pod rządami minister Annaleny Baerbrock (Zieloni) wysforował się pod tym względem na czoło: zatem nie tylko więcej dyrektorek departamentów i ambasaderek, nie tylko wprowadzenie parytetów w delegacjach towarzyszących minister, ale i „powołanie ambasadorki ds. feministycznej polityki zagranicznej”.

Oczywiście, spór o parytety miał już w historii wiele odsłon, począwszy od promowania na wyższych uczelniach dzieci robotników i chłopów, wprowadzone sto lat temu z okładem w Sowietach, a w ćwierć wieku później – w podporządkowanych im krajach Europy Środkowej. Były (i są) parytety „rasowe”, mogą być i feministyczne. Ta sprawa nieodmiennie budzi kontrowersje: entuzjaści parytetów przekonują, że chodzi o naprawienie historycznych niesprawiedliwości i wieloletniej dyskryminacji, krytycy zwracają uwa-

gę, że tego rodzaju akcje afirmatywne dokonują się z reguły kosztem konkretnych kompetencji.

Poza tym, tak, jak moneta ma awers i rewers, tak „pozytywna dyskryminacja” musi oznaczać „negatywną dyskryminację” osób z warstwy czy formacji dotąd (czasem jakoby, czasem naprawdę) uprzywilejowanej. Może to przybierać ostrą formę, jak pozbawienie w Sowietach osób „bywszych” praw obywatelskich, może oznacza wilczy bilet przy egzaminach na wyższe uczelnie dla byłych ziemian (tu kłania się PRL), a może dokonywać się w rękawiczkach.

Więcej garderobianych!

Z tym ostatnim przypadkiem będziemy mieć pewnie do czynienia w Niemczech, połowa stanowisk nie oznacza wykluczenia. Oczywiście, wpłynie to na ścieżki kariery, można sobie podworować z myślą o sprawdzaniu odsetka stenotypistek, szyfrantek, ochroniarek i garderobianych w świetle towarzyszącej odtąd minister, ale gdyby chodziło tylko o rozszady w środowisku kilkunastotysięcznego korpusu urzędniczego kwestia ta nie byłaby tak ważna. Ostatecznie, w urzędach centralnych z reguły dokonują się przetasowania w następstwie wyborów (tyle, że dotąd raczej wzdłuż linii partyjnych niż chromosomalnych), min. Baerbock ma bardzo konkretne ambicje polityczne, dotyczące jej nominowania przez partię na urząd kanclerski, i na całą sprawę można by w krótkiej perspektywie patrzeć trochę jak na pole bitwy między FPD, SDP a Zielonymi.

Idzie jednak o coś więcej. O zapowiedziany w marcowej deklaracji „feministyczny odruch” (*feministischer Reflex*), który ma stanowić jedną z najważniejszych wytycz-

nych kształtowania prac ministerstwa – ergo, prowadzenia przez Niemcy polityki zagranicznej. Jak manifestować się może taki odruch w konkretnych decyzjach politycznych – i jak wpływać to będzie na status i wybory Berlina, niewątpliwie należącego do ważnych graczy na scenie światowej i państw o największej „wadze” w UE, NATO i w Europie?

Niemcy nie są oczywiście pierwszym państwem, które zadeklarowały prowadzenie feministycznej polityki zagranicznej – są pierwszym państwem tak potężnym, które decydują się na to posunięcie.

Spór o parytety miał już w historii wiele odsłon, począwszy od promowania na wyższych uczelniach dzieci robotników i chłopów, wprowadzone sto lat temu z okładem w Sowietach, a w ćwierć wieku później – w podporządkowanych im krajach Europy Środkowej

Warto więc przypomnieć początki tej koncepcji, do której Auswärtiges Amt nawiązuje nawet na poziomie kalamburu, na co pozwala mu wspólny germański korzeń języka angielskiego i niemieckiego. Słynne „trzy R”, charakteryzujące feministyczną politykę zagraniczną, czyli representation (reprezentacja w znaczeniu „parytet”), rights (czyli prawa, oczywiście kobiet) oraz resources (zasoby, które powinny być równo rozdzielane) łatwo przyszło

przełożyć na *Repräsentanz, Rechte* oraz *Ressourcen*. Czy równie łatwo będzie przejąć i rozwinąć dorobek Kanady i Norwegii, które zadeklarowały prowadzenie takiej polityki jako pierwsze, forsującej ją Hillary Clinton i byłej (2013-2018) szefowej australijskiej dyplomacji Julie Bishop?

Prawa na „r”

Zasada „trzech R” ma zastosowania bardzo konkretne i sięgające znacznie dalej niż prostoduszne rozumienie tych haseł. Nie bowiem pewnie nikogo, kto oponowałby przeciw równemu dostępowi kobiet do konkretnych, mierzalnych zasobów, ich obecności nie tylko w kadrach macierzystego MSZ, lecz i w przedstawicielstwach i władzach innych państw. Najbardziej iskrzy, już przy pierwszym podejściu, w kategorii praw.

Wiadomo bowiem, że nie chodzi tylko o ochronę dziewcząt i kobiet przed „pospolitą przemocą” wojenną, przed gwałtem, rytualnym okaleczaniem czy wydawaniem bez ich zgody za mąż (w tej kwestii trudno o spór) lecz o cały obszar, ezopowo określany mianem „praw reprodukcyjnych”. Ale rzeczywiste ambicje architektek polityki feministycznej idą, jak się okazuje, znacznie dalej niż do poziomu ochrony kolejek do studni w Nigerii, zagwarantowania biernego prawa wyborczego dla Tybetanek czy bodaj legalizacji aborcji na życzenie.

Horyzont oczekiwań najpełniej, jak dotąd, sformułowała Margot Wallström – doświadczona socjaldemokratka, we władza Szwecji od końca lat 90., gdy sprawowała urząd minister spraw społecznych, prócz tego m.in. komisarz UE (1999-2010), i pierwsza przedstawicielka sekretarza generalnego ONZ ds. przemocy se-

ksualnej podczas konfliktów (2010-2012), a w latach 2016-2019 – szefowa szwedzkiej dyplomacji.

Margot Wallström od początku swojej kadencji powoływała się na istniejące już badania, w tym na analizy McKinsey Global Institute, MGI, z których jej zdaniem wynikało, że – jak ujmuje to polska politolog i socjolog Aneta Ostaszewska – „aktywny udział kobiet w negocjacjach pokojowych, a także parytety radach nadzorczych i prowadzenie równościowej polityki zatrudnienia ma pozytywny wpływ na politykę i ekonomię, lokalną i międzynarodową”. Nie do końca wiadomo, co oznacza „pozytywny wpływ”, ale można przyjąć, że obecność dam łagodzi obyczaje.

„– Tych 30 tys. jeńców wojennych nie jesteście w stanie wam oddać: nie wiemy, gdzie są, uciekli gdzieś, chyba do Burgundii. – Może jeszcze herbatki?”

„– Tych 30 tys. jeńców wojennych nie jesteście w stanie wam oddać: nie wiemy, gdzie są, uciekli gdzieś, chyba do Burgundii. – Może jeszcze herbatki?”

W świetle ustawy rak jest rybą

Pani minister podeszła jednak do sprawy jeszcze bardziej systematycznie: za pośrednictwem ambasad Królestwa Szwecji uruchomiła na całym świecie program gromadzenia danych o sytuacji kobiet w poszczególnych krajach: udziale dziewcząt w edukacji, liczbie aranżowanych

małżeństw nieletnich, prawie kobiet do posiadania rachunku bankowego czy prowadzenia samochodu. Omówiony przez dr Ostaszewską sześciopunktowy plan feministycznej polityki zagranicznej brzmiał następująco:

1. Prawa człowieka prawami kobiet;
2. Wolność od przemocy (fizycznej, psychologicznej, seksualnej);
3. Udział kobiet w zapobieganiu i rozwiązywaniu konfliktów militarnych oraz w budowaniu pokoju;
4. Wkład polityczny i wpływ kobiet na wszystkie sfery społeczne;
5. Równouprawnienie ekonomiczne, dostęp do zasobów bez względu na płeć;
6. Zdrowie kobiet oraz ich prawa seksualne i reprodukcyjne.

Jak się wydaje, niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych podążyło szwedzkim tropem (podobnie, jak wcześniej Norwegia czy Kanada) z jedną istotną różnicą: według założeń min. Baerbock, proponowane działania mają obejmować całe społeczeństwa, „a w szczególny sposób chronią osoby dyskryminowane ze względu na pochodzenie, wyznawaną religię czy orientację seksualną”.

Innymi słowy polityka feministyczna nie ma ograniczać się do obrony (jakkolwiek pojmowanych) praw kobiet, ich obecności w życiu publicznym i w polityce: w rzeczywistości mamy do czynienia z obroną wszystkich osób i społeczności w jakikolwiek sposób dyskryminowanych. Można by to podsumować jedną z fraz wyśmiewających koncepcje ustawodawcze sprzeczne, jak się wydaje, ze zdrowym rozsądkiem, jak słynne międzywojenne (według innych źródeł – wywodzące się jeszcze z czasów nieboszczki Austrii) ustawowe orzeczenie, że „rak jest rybą”.

Pieśni Lennona

W takich sformułowaniach chodzi jednak przecież nie o zakwestionowanie praw biologii, lecz o pewną ekonomię ustawodawczą, uproszenie przepisów i opodatkowanie nieszczęsnego raka (a ściślej, jego hodowców) bez konieczności przeprowadzania nowelizacji ustawy. Dlatego dokonane przez niemiecki MSZ rozszerzenie działań polityki feministycznej na wszystkie grupy dyskryminowane kojarzy mi się raczej z postawieniem na głowie hasła, które wzniosł nikt inny jak John Lennon.

Polityka feministyczna nie ma ograniczać się do obrony (jakkolwiek pojmowanych) praw kobiet, ich obecności w życiu publicznym i w polityce: w rzeczywistości mamy do czynienia z obroną wszystkich osób i społeczności w jakikolwiek sposób dyskryminowanych

W albumie „Some Time in New York City” z roku 1972 muzyk zaśpiewał wraz z Yoko Ono słynny song „Woman is the nigger of the world”, czyli „Kobieta jest Murzynem świata” (w wiernym przekładzie – „czarnuchem”, co już wtedy budziło kontrowersje, ale wiadomo – był to iro-

niczny cytat). Otóż w wykładni niemieckiego MSZ można uznać, że – Murzyni są kobietami świata. Afroamerykanie, Euroafrykanie, Tamilowie, Tatarzy, konfucjanie, osoby ciałopozytywne, osoby niebinarne, osoby osobne – wszyscy „dyskryminowani ze względu na pochodzenie, wyznawaną religię czy orientację seksualną”.

Nie chcę w tym miejscu dyskutować zasadności tej zmiany paradygmatu polityki zagranicznej ani jego spójności bądź niespójności wewnętrznej. Przyjmując, że taka doktryna polityczna została przyjęta przez najpotężniejsze dziś państwo UE – i biorąc ją niejako „w nawias kwadratowy”, wyłączając tym samym ocenę jej wartości – pragnę jedynie zwrócić uwagę na możliwe tej decyzji konsekwencje.

Jak być człowiekiem

Polityka zagraniczna, jedna z najstarszych praktyk państwowych, jakie zna historia, tradycyjnie służyła zagwarantowaniu bezpieczeństwa i pomyślności swojemu krajowi. Oczywiście – wielokrotnie w dziejach władcy i politycy podejmowali przynajmniej wysiłek, by nie była ona realizowana bez reszty *per fas et nefas*, wszelkimi dostępnymi środkami i z lekceważeniem lub przedmiotowym traktowaniem wszystkich „zewnętrznych” partnerów i obiektów tej polityki.

Władcy niewiele mogli zrobić: mogli wytrwać w niewygodnym dla nich w danej chwili sojuszu, miast go porzucić, mogli zapewnić dach nad głową przegrany ludom mimo pogroźek wrogiemu im dyktatora, mogli udzielić – to najłatwiej – pomocy („ślą mąkę worki otuchy tłuszcz i dobre rady” – pisał z goryczą Herbert). Generalnie – w polityce zagranicznej jeszcze trudniej o wielkoduszność niż w wewnętrznej – dlatego, że mniej obliczalni

są partnerzy/rywale i zbyt wysoka jest stawka zagrożenia.

Więcej mogli pisarze i moralisci – i stale podnosiły się głosy o ludzkie traktowanie „innych”, czy to niewygodnych sojuszników, czy pokonanych przeciwników. Od Tukidydesa, opisującego ze zgrozą (choć oszczędnie) zagładę Melos, słyhać ten głos. I przecież wszystkie próby humanizacji polityki zagranicznej (wszystkie te umowy zbiorowe, konwencje ograniczające stosowanie nieludzkich broni, upominanie się o więźniów sumienia) nie były tylko narzędziem nacisku ani wizerunkową sztuczką. Ba, zdarzały się nawet

W wykładni niemieckiego MSZ można uznać, że – Murzyni są kobietami świata

interwencji zbrojne, które nie były tylko „przykrywką” dla rozszerzenia strefy wpływów czy pokazania, kto tu rządzi – lecz grubo ciosaną, często kontrskuteczną próbą obrony wybijanych w pień cywilów.

Misje i komisje

Działania takie zawsze jednak stanowiły margines – możliwy margines, margines luksusu – w codziennej, żmudnej, bezwzględnej polityce: obronie racji stanu Niemiec, Francji czy Egiptu. I te podstawowe działania zawsze wymagały środków, których zawsze było za mało. Nie wiem, w jakim kraju budżet resortu dyplomatycznego nie cierpi na bezustanne cięcia: może w Arabii Saudyjskiej? Generalnie stale i wszystkim potrzebne są miliony i miliardy, których wszystkim brakuje.

Nie na nagrody i złote spinki: na utrzymanie sieci ambasad i konsulatów, na finansowanie najlepszych prawników i ekspertów, na wystawy, wydawnictwa, analizy, misje i komisje, wszystkie zogniskowane na tym celu: rozpoznaniu i ochronie racji stanu swojego kraju. Porozmawiać. Dopuścić, ale warunkowo. Zaprotestować. Zawiesić. Przepuścić. Przyjąć.

Pojawienie się „feministycznego refleksu” oznacza – to po pierwsze – zasadniczą zmianę paradygmatu działania. I to na kilku poziomach.

Naprzód – zredefiniowania obszarów, które znajdują się w kręgu zainteresowań resortu dyplomacji, w tym jego przedstawicielstw zagranicznych. Ambasada prowadzi przecież politykę, ale i obserwuje: scenę polityczną i gospodarczą, ambicje i dokonania kraju-gospodarza w polityce regionalnej, ciekawe inicjatywy kulturalne, politykę historyczną, a attaché wojskowy, wiadomo, chętnie przyjmie zaproszenie na manewry. Oczywiście, „sytuacja kobiet” pojawiała się i będzie pojawiać w depeszach ambasad do centrali jako element panoramy społecznej, jako – we współczesnych czasach – istotny czynnik polityczny.

Jest to jednak jakościowo co innego niż przeznaczenie potężnej części środków na stałe monitorowanie sytuacji kobiet w danym kraju, począwszy od skolaryzacji, skończywszy na parytetach zatrudnienia w bankach, ministerstwach i redakcjach. A tu standard – wysoki – wyznaczyła Margot Wallström.

Ale przecież rzecz dotyczy nie tylko opisu; bo nie o to chodzi, by opisywać świat, lecz by go zmieniać. Zatem resort dyplomatyczny będzie odtąd musiał zabiegać – obok dotychczasowych celów, jak redukcja zagrożeń militarnych, rozbrojenie, zagwarantowanie dostaw stra-

tegicznych surowców czy wymiana młodzieży – o cele zupełnie inne. O, ujmując rzecz lapidarnie, „szwedzką szóstkę”: wkład polityczny kobiet we wszystkie sfery społeczne, dostęp do zasobów, równouprawnienie ekonomiczne....

Próby zmiany z zewnątrz modelu rodziny, skali diety i struktury społecznej (a do tego prowadziłyby, konsekwentnie stosowana, „szwedzka szóstka”) – to naprawdę znacznie więcej niż wymuszenie na tyranie zwolnienia „więźniów sumienia”

To powodować będzie ogromny opór krajów, w których prowadzona będzie tego rodzaju polityka. I to nawet nie ze względu na przekonania, na inne niż w Berlinie definiowania zakresu „praw reprodukcyjnych” czy oczekiwanej skali zaangażowania kobiet w samorządy. Ze względu na bardzo jaskrawe (choć „miękkie”) naruszenie granic suwerenności, i tak od wielu już lat dekonstruowanych. Próby zmiany z zewnątrz modelu rodziny, skali diety i struktury społecznej (a do tego prowadziłyby, konsekwentnie stosowana, „szwedzka szóstka”) – to naprawdę znacznie więcej niż wymuszenie na tyranie zwolnienia „więźniów sumienia”. Lub opublikowania zakazanej sztuki, lub przeprowadzenia wyborów pod nad-

zorem obserwatorów międzynarodowych. I w sumie niewiele mniej niż ingerencja zbrojna w obronie likwidowanego akurat ludu.

Czterech attaches obserwuje

Ale – znowu, biorąc w nawias sens nowego paradygmatu i ewentualny opór miejscowych elit władzy – takie działania oznaczają również ogromne rozproszenie środków. Te same kwoty, którymi dane państwo dysponuje na utrzymanie ambasady, opłacanie jej personelu, propagandę i podróże – będzie odtąd musiało dzielić. To – na rozmowy z wojskowymi. To – na walkę z wykluczeniem menstruacyjnym. Czterech attaches obserwować będzie wybory w górskich aulach, w nadziei, że ich obecność zapobiegnie plemiennej rzezi, a trzech – zasiądzie w komisji egzaminacyjnej Centralnego Uniwersytetu Ludowego, dbając, by kandydatki do wyższego wykształcenia traktowano tak samo, jak kandydatów. Postawmy kropkę nad i: spowoduje to istotne osłabienie skali i skuteczności tradycyjnych inicjatyw dyplomatycznych.

Po wtóre jednak – i tu dopiero zaczynają się schody – przyjęcie doktryny polityki feministycznej (a zatem rozszerzenie, jeśli nie zmiana palety celów) oznaczać będzie bezustanny konflikt wartości, jakimi kierować się powinien resort dyplomatyczny: dotychczasowych (bezpieczeństwo i pomyślność własnego kraju, które nieraz wymaga rozmów i porozumień również, może nawet zwłaszcza, z dyktatorami i tyranami) i nowych: troski o prawa kobiet w krajach ościennych.

I nie będzie to dylemat na poziomie akcydentalnym – trzech obserwatorów na egzaminy, czterech na wybory lokalne czy odwrotnie? – lecz na strategicznym:

podejmowania (lub nie) rozmów z władcami państw, które wprawdzie łamią prawa kobiet (lub nie realizują ich w sposób oczekiwany przez podwładne pani Baerbrock), lecz są (lub dotąd były) niezbędne dla zagwarantowania równowagi w regionie, dostaw uranu czy nieprolifracji głowic jądrowych.

Te same kwoty, którymi dane państwo dysponuje na utrzymanie ambasady, opłacanie jej personelu, propagandę i podróże – będzie odtąd musiało dzielić. To – na rozmowy z wojskowymi. To – na walkę z wykluczeniem menstruacyjnym

Zresztą – architekci nowej polityki są tego świadomi: podczas debaty w Bundestagu wielokrotnie przywoływano przykład polityki niemieckiej wobec Iranu gdzie, jak wiadomo, od jesieni ub. roku trwają protesty po śmierci Mahsy Amini, najpewniej pobitej przez policję (i w następstwie tego zmarłej) z powodu braku właściwego nakrycia głowy. Oburzające – i krytyka Teheranu wydaje się być w pełni zasadna. A jednocześnie – Teheran jest (najpewniej) w posiadaniu głowic jądrowych, pozostaje kluczem do bezpieczeństwa regionalnego na Bliskim Wschodzie – i szerzej. Jak zatem zastosować „feministyczny odruch” w niemieckiej po-

lityce bliskowschodniej? Zamrozić relacje z Iranem, sięgnąć po wszelkie możliwe sankcje, wspierać na szerszą dotąd skalę radykalną opozycję – czy jednak rozmawiać o nieprolifracji?

Nasze sukinsyny

Podobne dylematy miała proowadząca feministyczną politykę Kanada, gdy doszło do sprzedaży broni Arabii Saudyjskiej, gdzie najtrudniej o cząstkowe choćby zrównanie praw kobiet i mężczyzn. I pojawiać się one będą stale.

Do pewnego momentu będą one (jak w przypadku działań Niemiec czy Kanady) rozstrzygane zdroworozsądkowo. Wyżej stawiana będzie krajowa (a w przypadku irańskich głowic i zagrożenia, jakie powodują, nie tylko krajowa) racja stanu. Jak zawsze – troska o bezpieczeństwo i pomyślność.

To rodzić będzie niekończący się festiwal oskarżeń. Zarzutów o trzymanie się „patriarchalnej perspektywy”. Protestów. Osłabiania resortu dyplomatycznego, zmuszonego do pozorowania jednych działań, a ukrywania innych, ważniejszych.

Dostarczać będzie paliwa ugrupowaniom feministycznym lub na feministki się otwierającym. A obserwatorów życia politycznego utwierdzać będzie w przekonaniu, że to wszystko cyniczna gra pozorów. Że feministkom rzuca się, jak ochłap, kilka haseł, stanowisko pani podsekretarz stanu, jakieś wsparcie dla protestów proaborcyjnych w Polsce czy w Kongu – i tyle.

Aż w końcu – to ostatnie piszę w trybie felietonowym, ale nie do końca żartem – pojawić się może dylemat poważniejszy i bardziej przewrotny już wybór między obroną pamięci Mahsy Amini, a Europy czy Izraela przed irańską salwą jądrową.

Bowiem, jak doskonale wiemy, nieheteronormatywność się zdarza, również wśród panujących. I to nie tylko za czasów Aleksandra Wielkiego, Heliogabala, a bodaj i Fryderyka Wielkiego, króla Prus. Również współcześnie.

Owszem: dyktatorzy zwykle wierni są „paternalistycznemu paradygmatowi prezenzji” i – niezależnie od tego, kto bardziej by ich pociągał – światu ukazują się jako stuprocentowi *macho*: konno, półnadzy, ze spluwą lub ze spadochronem; a czasem, jak Kaddafi, w otoczeniu tuzina powabnych bodyguardek.

Ale świat tak prędko się zmienia... Spróbujmy sobie wyobrazić jakiś odległy kraj, gdzie do władzy dochodzi, w sposób dość przemocowy, władca, który nie kryje swych upodobań – powiedzmy – transseksualnych. I nie tylko się z tym nie kryje, lecz obsadza kluczowe stanowiska w kraju swoimi współtowarzyszami podobnej orientacji. Jeśli jest to jedyne kryterium doboru, trudno o kompetencje. Kraj pogrąży się więc w większej niż dotąd korupcji, chaosie i przemocy. Parady *drag queens* są malownicze, ale armia i policja są w rozsypce. Prześladowane są plemiona w głębi kraju, ale i ortodoksi – muzułmańscy, chrześcijańscy czy bahaiccy, to drugorzędne – którzy głośno mówią o „zgorzeniu”. A co gorsza – jeden z pieszczoszków dyktatora, niezbyt stabilny psychicznie zawładnął, jak się zdaje, miejscowymi kopalniami berylu i plutonu...

W dawnym świecie brutalnej polityki decyzja wydawałaby się oczywista: lotnikowiec, helikoptery, komandosi, w pięć godzin problem zostanie rozwiązany.

Co jednak, jeśli któryś z bardziej kreatywnych i bardziej zaangażowanych w politykę feministyczną młodych sekretarzy stanu sięgnie w najzupełniej nieoczekiwany sposób po zdanie, wygłoszone ongiś przez

F.D. Roosevelta i stanowiące dotąd najbardziej jaskrawy przykład brutalnej polityki kierującej się wyłącznie racją stanu, a nie wartościami? I powie, patrząc w zadumie na mapę:

– Może i jest sukinsynem, ale to *nasz* sukinsyn...

Pożegnanie z geniuszem, czyli Bartosiak i jego zachwyceni znajomi



ROBERT KURASZKIEWICZ

W latach 80-tych działacz opozycji antykomunistycznej w Ruchu Młodzieży Niezależnej i Ruchu Młodej Polski, jeden z założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, publicysta, przedsiębiorca i menadżer

Najnowsza książka Jacka Bartosiaka to zmarnowana okazja. Nie ma w niej błyskotliwej analizy rzeczywistości globalnej. Nie znajdziemy odpowiedzi na pytanie, jak wpływa ona na przebieg wojny na Ukrainie, ani w jaki sposób Polska powinna w tej chwili dbać o swoje interesy

Szok i niedowierzanie – tak mówią kibice piłkarscy po kolejnym bardzo słabym meczu polskiej reprezentacji. Taki stan towarzyszył mi w trakcie lektury najnowszej książki Jacka Bartosiaka, „Najlepsze miejsce na świecie. Gdzie Wschód zderza się z Zachodem”.

Rosyjska agresja na Ukrainę a polityka polska. Przesunięcie osi światowej polityki i interesów amerykańskich na Pacyfik. Nowe technologie, które będą determinowały rozgrywkę między światowymi mocarstwami. Rywalizacja w kosmosie, Polska a jednocząca się Europa, Ukraina i Europa Środkowo-Wschodnia w wojnie i po wojnie – wszystkie te kwestie są dzisiaj niesłychanie intrygujące i wymaga pogłębionej analizy i dyskusji. Żyjemy w czasach przełomu, a Jacek Bartosiak był niewątpliwie jednym z pierwszych publicystów w Polsce, którzy przywrócili w publicznej debacie kategorie myślenia geopolitycznego. Sięgając po książkę, nawiązywałem, że poznam poglądy autora na temat tej tworzącej się nowej geopolitycznej układanki. Autor silnie pod-

kreślał, że jego analizy służą budowie polityki zgodnej z polskim interesem narodowym, co dodatkowo wzbudzało we mnie chęć zapoznania się z jego aktualnymi poglądami. Niestety w miarę przewracania stron mój entuzjazm gasł.

Książka składa się z ośmiu rozdziałów, przy czym można w niej zauważyć wyraźny podział na trzy części. Pierwsza część poświęcona jest temu, że Jackowi Bartosiakowi prawie udało się spotkać z Jarosławem Kaczyńskim. Ale się nie udało. Miałem nadzieję, że doświadczenia wynikające z kontaktów z zapleczem lidera PiS posłużą jakiejś pasjonującej analizie funkcjonowania obozu władzy, a na końcu będą wynikające z niej wnioski. Nic z tego. Sprawa zawisa w próżni. Tak jakby autor miał nadzieję, że dzięki książce jednak do wymarzonego spotkania dojdzie.

Druga, zasadnicza część książki polega na tym, że Bartosiak wymienia swoich – w większości amerykańskich – rozmówców, podkreślając ich zachwyt nad jego dorobkiem, a zwłaszcza nad koncepcją Armii Nowego Wzoru. I nie jest to ironia,

ale opis! W tej części znajdziemy również opis gier wojennych, które miały miejsce z udziałem Bartosiaka. Widać w tym piśmarstwie próby nawiązania do stylu Roberta D. Kaplana, czy też Guya Sormana. Zarówno jeden, jak i drugi prezentują swoje tezy w oparciu o narrację osób, z którymi się spotkali. Ich diagnozy cywilizacyjno-polityczne wynikają z obserwacji świata oczami innych. Czytelnik ma wrażenie, że zapoznaje się z szerokim spektrum widzenia autorytetów, ale i zwykłych ludzi. W książce Bartosiaka zapoznajemy się z całą plejadą różnych osób, z którymi się spotkał. Nie znajdziemy w niej jednak ich fascynujących opowieści – poza wspomnianym zachwytem nad Armią Nowego Wzoru najwyższej wyrażają zaskoczenie, że ktoś mógł stworzyć takie dzieło w takim kraju jak Polska.

W trzeciej i ostatniej części, składającej się z siódmego i ósmego rozdziału, można – choć trochę na siłę – próbować znaleźć tezy, które coś wnoszą do debaty publicznej. Nie chodzi o to, żeby się ze wszystkim zgadzać, ale w zupełnie nowej rzeczywistości polityki światowej naprawdę warto ćwiczyć i rozważać różne warianty. U Bartosiaka z grubsza polegają one na tym, że Polska wraz z Ukrainą tworzy militarny ośrodek siły w Europie Środkowo-Wschodniej – i to jest najlepsza droga do przywrócenia potęgi Rzeczypospolitej i wypchnięcia Rosji. Mimo oparcia się na Amerykanach – pisze Bartosiak – w polskich rękach powinny być narzędzia kontrolujące mechanizmy eskalacyjne w razie przyszłej wojny. W skrócie: Polska powinna mieć zdolność do strategicznego narzucania swojej woli politycznej z pominięciem USA.

W pewnym momencie autor stawia jednak absurdalną i niebezpieczną tezę, że Polska powinna być gotowa do samo-

dzielnego rozpoczęcia wojny z Białorusią po to, żeby „wciągnąć” sojuszników do konfrontacji z Rosją. Spójrzmy na fakty. Po raz pierwszy od kilkuset lat toczy się wojna bez przelewania polskiej krwi, która jest w naszym interesie, bo mocno osłabia agresywną Moskwę. W takiej sytuacji nie powinniśmy wychodzić przed szereg, ale – jak najbardziej – chować się za sojuszniczym murem i umiejętnie wykorzystywać tę rzadko spotykaną w polskiej historii koniunkturę. Tymczasem Jacek Bartosiak tworzy scenariusze, w których mielibyśmy podjąć ryzyko uderzenia wyprzedzającego bez gwarancji udziału naszych sojuszników.

Pierwsza część poświęcona jest temu, że Jackowi Bartosiakowi prawie udało się spotkać z Jarosławem Kaczyńskim. Ale się nie udało

Jeszcze jedną tezą, którą warto podkreślić, a która przewija się mniej lub bardziej jednoznacznie w wielu fragmentach, brzmi następująco: państwo polskie w obecnej formie działania jest niezdolne do umiejętnego wykorzystania koniunktury geopolitycznej. I to być może jest najciekawsze stwierdzenie w całej książce. Szkoda tylko, że również i tym razem autor nie przedstawia koncepcji, w jaki sposób zbudować takie efektywne centrum zarządzania strategicznego, które przeniosłoby politykę polską na inny poziom. Przedstawia wprawdzie krytyczną wobec polskich elit koncepcję „wieży” (będącą ewidentnym nawiązaniem do książki Nial-

la Fergusona „Ratusz i rynek”), ale i tu staje w miejscu i nie proponuje żadnych rozwiązań. W zasadzie powtarza tylko, że Armię Nowego Wzoru chwala wszędzie, a polski rząd nie chce z tej koncepcji skorzystać.

Koncepcję tej armii można opisać jako dynamiczne i elastyczne zarządzanie konfliktem na wszystkich szczeblach dowodzenia, w tym działaniami militarnymi i poniżej progu „starcia kinetycznego”. Jednak nawet jeżeli padają jakieś interesujące spostrzeżenia, to nie znajdują one rozwinięcia, o które aż się prosi. Np. na stronie 384 autor stwierdza: „Wlewanie pieniędzy w to samo i w taki sam sposób, tylko tym razem dużo większej ich ilości, nie zmieni istotnie zdolności wojska polskiego ani nie odstraszy Rosjan”. Pełna zgoda – i już miałem nadzieję, że znajdę w książce analizę i ocenę polskiego programu zbrojeniowego i propozycje jego dalszego rozwoju zgodnie z koncepcją ANW. Już chyba nie muszę pisać, że się nie doczekałem. A jest to jedno z najważniejszych zagadnień strategicznych dla państwa polskiego. Polski rząd wydaje miliardy złotych i zaciąga jeszcze większe zobowiązania na całe lata do przodu. Mam wątpliwości co do zasadności wielu elementów programu zbrojeniowego. W tej sprawie w Polsce praktycznie nie toczy się żadna jakościowa debata. Książka Bartosiaka nic w tym zakresie nie zmienia.

W „Najlepszym miejscu na świecie” w wielu miejscach, trochę bez składu i ładu, pojawiają się twierdzenia o zmianie osi geopolitycznej, o nowym rodzaju wojny, o nowych technologiach i kosmosie, które będą determinowały przyszłość konfliktów globalnych, i tak dalej, i tym podobne. Nic z tych wyliczeń nie wynika.

Jednym słowem najnowszą książkę Jacka Bartosiaka określiłbym jako zmarowaną okazję. Nie ma w niej błyskotliwej analizy rzeczywistości globalnej, nie znajdziemy odpowiedzi na pytanie, jak wpływa ona na przebieg wojny na Ukrainie, ani w jaki sposób Polska powinna w tej chwili dbać o swoje interesy. W oczy rzuca się brak związków przyczynowo-skutkowych. Uwagi, refleksje i opinie często rzucają się w rozproszony sposób i jedna nie wynika z drugiej. „Najlepsze miejsce na świecie” nie pozwala nam lepiej zrozumieć nowej geopolitycznej układanki. Nie wnosi praktycznie nic nowego do budowy lepszej polityki polskiej.

Autor stawia absurdalną i niebezpieczną tezę, że Polska powinna być gotowa do samodzielnego rozpoczęcia wojny z Białorusią po to, żeby „wciągnąć” sojuszników do konfrontacji z Rosją

Wiele lat temu Mateusz Matyszkowicz powiedział, że wypuszczenie nowej książki jest zawsze dla autora bardzo bolesne. Wkłada on bowiem w pracę swoje siły i zaangażowanie – i wydaje mu się, że jego dzieło jest genialne. Oddając książkę uwadze czytelników, często żegna się jednak z własnym geniuszem. Nowa książka Jacka Bartosiaka jest tego najlepszym przykładem.

Od ataku na WTC do wojny w Ukrainie. Budzisz, Radziejewski i Góralczyk o przyczynach rosyjskiej inwazji



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”



MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.



BOGDAN GÓRALCZYK

profesor zwyczajny w Centrum Europejskim UW, politolog, sinolog, dyplomata i publicysta, znawca spraw międzynarodowych. Ostatnio wydał Chiński Tryptyk, czyli trzy tomy o chińskiej transformacji: „Chiński Feniks” (2022, wznowienie z 2010), „Nowy Długi Marsz” (2021, rozszerzone wydanie 2022) oraz „Wielki Renesans” (2018)

Marek Budzisz: „Przyczyn obecnych wydarzeń należy szukać wśród kryzysu finansowego z 2008 roku, wycofania się USA z Bliskiego Wschodu oraz pamiętnego przemówienia Władimira Putina na konferencji w Monachium”

Bartłomiej Radziejewski: Wojna w Ukrainie niewątpliwie zachwiała światem. Wydarzenie to spowodowało cały szereg implikacji, nie tylko w naszym najbliższym otoczeniu geopolitycznym, czyli w Europie. Niestety, wiedza przekazywana na ten temat przez media często jest bardzo fragmentaryczna, powierzchowna i pełna emocji, przez co trudno zrozumieć, co się tak naprawdę dzieje. Nasza książka jest próbą odpowiedzi na ten brak. Jest

też próbą syntezy tego, co obecnie dzieje się w Ukrainie, i jakie to będzie mieć skutki. Panowie, co tak naprawdę się wydarzyło? Jaka jest istota tego konfliktu?

Marek Budzisz: Przede wszystkim należałoby zadać pytanie o to, czy wojna w Ukrainie jest skutkiem, czy przyczyną. W mojej opinii jest bardzo dramatycznym skutkiem trendów o głębszym wymiarze. Jest to jeden z ruchów konwulsyjnych

zmieniającego się porządku światowego. Układ dominujący od czasów drugiej wojny światowej traci znaczenie i wigor, a także wiarę we własne siły. Sytuacja ta jest wykorzystywana przez dużą grupę państw, które można określić mianem wschodzących graczy. Procesy te nie rozpoczęły się oczywiście w 2022 roku. Wojna w Ukrainie nie jest też ich pierwszym skutkiem.

Bartłomiej Radziejewski: Gdzie więc należy szukać tych źródeł?

Marek Budzisz: Moim zdaniem przyczyn obecnych wydarzeń należy szukać wśród kryzysu finansowego z 2008 roku, wycofania się USA z Bliskiego Wschodu oraz pamiętnego przemówienia Władimira Putina na konferencji w Monachium, kiedy to po raz pierwszy podjął on wątek konieczności rewizji porządku światowego. Wojna w Ukrainie jest więc skutkiem głębszych procesów. Jest ona czymś, co określa się mianem triggera, czyli wydarzenia przyspieszającego zjawiska, które wcześniej toczyły się w sposób powolny.

Bogdan Góralczyk: Zgadzam się z Markiem Budziszem, jednak szukając przyczyn tego wydarzenia, sięgnąłbym jeszcze głębiej w historię, a mianowicie do roku 2001. To wówczas w odpowiedzi na zamachy z 11 września Stany Zjednoczone ruszyły na wojnę z terroryzmem. Misja ISAF w Afganistanie, zakończona w 2021 roku, nie była sukcesem USA. Miała ona ogromne znaczenie w kalkulacjach Władimira Putina i Xi Jinpinga.

Co więcej, w tym samym miesiącu Chiny zostały przyjęte do Światowej Organizacji Handlu (WTO) i rozpoczęły okres dwucyfrowego wzrostu, co skutecznie zmieniło układ sił. W 2001 roku mieliśmy więc pierwszy etap *power shift*,

czyli przesuwania się tego układu. Drugi etap rozpoczął się w 2008 roku. Myślę, że nasze elity polityczne jeszcze nie przyswoiły zmiany, jaka wtedy zaszła. Kraje takie jak Chiny, Indonezja, Indie, Brazylia, które do tej pory nazywaliśmy państwami Trzeciego Świata, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniły się w rynki wschodzące. Jest to o tyle istotne, że statystyka pokazuje, iż w latach 2009-2019 rynki te dały ponad 80 procent światowego wzrostu, czyli tam była największa dynamika gospodarcza.

Budzisz: Układ dominujący od czasów drugiej wojny światowej traci znaczenie i wigor, a także wiarę we własne siły. Sytuacja ta jest wykorzystywana przez dużą grupę państw, które można określić mianem wschodzących graczy

Przejdźmy do kolejnej przyczyny. W 2014 roku Ukraińcy doprowadzili do Euromajdanu, jasno opowiedzieli się za Zachodem, za Unią Europejską, a przeciwko stałej współpracy z Rosją. Skończyło się to wygnaniem Janukowycza oraz wojną, której kolejny rozdział obecnie oglądamy. W książce *Historia imperium rosyjskiego* Michaił Heller pisze *expressis verbis*, że pierwsze rozdziały tej historii to zajęcie Kijowa przez Mongołów w 1240 roku. Początkowo to jest historia Rusi Kijowskiej. Dokładnie to samo pisze Richard Pipes: „Księstwo Kijowskie stało

się z czasem kolebką nowego państwa, Księstwa Moskiewskiego. Historiografia rosyjska tradycyjnie głosiła, że państwo moskiewskie jest bezpośrednim spadkobiercą Księstwa Kijowskiego”. Z punktu widzenia Rosji największą tragedią XX wieku nie był Holokaust, ani dwie wojny światowe, tylko rozpad ZSRR, co podkreślał Władimir Putin w swojej wypowiedzi z 2005 roku. W lutym 2007 roku po raz pierwszy całkiem otwarcie podważył on dominację amerykańską, „jednobiegunową chwilę”, czyli – jak to określił – porządek oparty na dyktacie. Są to, moim zdaniem, czynniki, które doprowadziły do wybuchu wojny 24 lutego.

Bartłomiej Radziejewski: Kiedy rozmawiamy o istocie tego, co się dzieje, warto zauważyć, że – w mojej opinii – mamy do czynienia z podwójną wojną, a więc gorącą wojną rosyjsko-ukraińską oraz równoległą zimną wojną zachodnio-rosyjską. Wojny te są ściśle współzależne, ale nietożsame. Co więcej, ich przebieg i wyniki mogą być różne.

Rosja zaatakowała Ukrainę, kierując się określoną kalkulacją swoich interesów mocarstwowych. Włączyła się w to jednak również ogromna pod względem potencjału i potęgi grupa krajów ze Stanami Zjednoczonymi na czele, które również chcą tam realizować określone interesy.

Podstawową przyczyną, poza wspomnianym już dłuższym ciągiem głębszych procesów, jest to, że w Stanach Zjednoczonych zwyciężyła bardzo nietypowa i radykalna koncepcja potraktowania Rosji z jej ambicjami mocarstwowymi. Po upadku Związku Sowieckiego USA traktowały Rosję podobnie jak wcześniej traktowano na Zachodzie Rosję carską, czyli jako wielkie mocarstwo, które „ma prawo” do swojej strefy wpływów, z którym trzeba

się układać, z którym trzeba dzielić się światem i odpowiedzialnością za ten świat. Oczywiście, zdarzało się im być w konflikcie, ale generalnie postrzegano współpracę jako przynoszącą korzyści. Dziś w Stanach Zjednoczonych mamy sytuację niespotykaną od czasów Ronalda Reagana, a w pewnym sensie w ogóle niespotykaną,

**Góralczyk: Misja ISAF
w Afganistanie, zakończona
w 2021 roku, nie była
sukcesem USA. Miała ona
ogromne znaczenie
w kalkulacjach Władimira
Putina i Xi Jinpinga**

ponieważ w tamtym czasie Rosja była supermocarstwem, a dziś jest jego bladym cieniem. Po raz pierwszy od tamtej pory w USA zwyciężyła chęć wybicia Rosji zębów. Wskazują na to wprost słowa Lloyda Austina, który mówił, że nie chce, by Rosja miała w przyszłości możliwość powtórzenia takiej agresji. Przede wszystkim jednak potwierdzają to działania Stanów Zjednoczonych – skala sankcji, skala ich zainteresowania i zaangażowania. To Stany Zjednoczone stoją za dzisiejszą zimną wojną. Używam tego pojęcia w sposób elastyczny, jako nie tylko zarezerwowanego dla określenia stosunków pomiędzy USA a ZSRR w okresie ich największej rywalizacji, ale jako sposób prowadzenia konfliktu, który oznacza, że zwalczamy się na wszelkie sposoby poniżej progu zaangażowania zbrojnego. Gdyby jednak nie było ono wykluczone z pewnych powodów,

na przykład możliwości użycia broni jądrowej, to walczylibyśmy zapewne kinetycznie. W tym ujęciu zimna wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a ZSRR była tylko jedną z wielu możliwych, być może pierwszą, ale na pewno nie ostatnią zimną wojną. Radykalna decyzja Stanów Zjednoczonych o konieczności powstrzymania Rosji spowodowała, że dziś również mamy do czynienia z takim zjawiskiem.

Zgadzam się zarówno z Markiem Budziszem wskazującym jako kluczowy rok 2008, jak i z Bogdanem Góralczykiem wskazującym wcześniejsze wydarzenia. To, co dziś dzieje się w Ukrainie, jest skutkiem czy też elementem ciągu zdarzeń, który można opisać jako dekompozycję ładu światowego. Mieliśmy „jednobiegową chwilę” często utożsamianą z liberalnym porządkiem międzynarodowym, w którym Stany Zjednoczone były jednocześnie jedynym supermocarstwem i jedynym wielkim mocarstwem. Ten moment minął, ale instytucje i normy stworzone przez ten system pozostają w naszym codziennym życiu. To musi powodować napięcia, konflikty i turbulencje w różnych częściach świata. Rok 2008 jest, moim zdaniem, bardzo dobrą symboliczną cezurą. Tak jak nie da się wskazać jednego momentu upadku imperium zachodniorzymskiego – wybrano więc symboliczną datę, która ma uporządkować naszą wyobraźnię – tak i w tym przypadku mówimy o procesie, który wykracza poza ten rok, jednak jest on właściwy jako umowna data ze względu na trzy ważne wydarzenia. Pierwszym z nich jest olimpiada w Pekinie symbolizująca wzrost potęgi Chin i przesuwanie się centrum świata nad Pacyfik. Drugim jest kryzys finansowy, który spowodował wielkie osłabienie Zachodu i przesunięcie się potęgi gospodarczej do Azji, zwłaszcza do Chin. Trzecim jest agre-

sja rosyjska na Gruzję i powrót Rosji do grona wielkich mocarstw. Ona wyraźnie mówi, że jest państwem rewizjonistycznym, które ma swoje ambicje i nie pozwoli przekroczyć pewnych granic. Rok 2008 jest więc datą symbolizującą rozkład starego porządku międzynarodowego.

Radziejewski: Podstawową przyczyną, poza wspomnianym już dłuższym ciągiem głębszych procesów, jest to, że w Stanach Zjednoczonych zwyciężyła bardzo nietypowa i radykalna koncepcja potraktowania Rosji z jej ambicjami mocarstwowymi

Wojna rosyjsko-ukraińska jest zatem skutkiem wielu wydarzeń, ale jest też przyczyną, czyli kolejnym etapem, który z jednej strony jest logicznym następstwem poprzednich, a z drugiej powoduje cały szereg kolejnych wydarzeń, takich jak nowa rola Niemiec czy Indii. Są to skutki o charakterze globalnym.

Marek Budzisz: Myślę, że przyda nam się pewne uporządkowanie. Zaczniemy od rosyjskiego przekonania, że o miejscu państwa w układzie sił decydują różne parametry, ale najważniejszym z nich jest siła, przede wszystkim siła wojskowa. Ona ma wpływ na ich wyobraźnię strategiczną i dobór narzędzi, w tym chęć uzyskania czegoś, co można określić mianem za-

skoczenia strategicznego. Dobrym przykładem może być tu rosyjskie spojrzenie na kryzys kubański, który według Rosji wygrał ZSRR. Rosja doprowadzając do pewnego przesilenia na granicy wojny jądrowej, uzyskała efekt zatrzymania ilościowego wyścigu zbrojeń, co pozwoliło w latach siedemdziesiątych XX wieku zbudować parytet ilościowy i w efekcie zaprojektować system drugiej fazy zimnej wojny, która jest w Rosji postrzegana raczej pozytywnie, ponieważ oceniana jest umiejętność zarządzania w sytuacji konfrontacji. W rosyjskim myśleniu widać sporo szkoły realistycznej, której przedstawiciele są tam bardzo popularni. Istnieje także przekonanie, że można licytować słabymi kartami i więcej ugrać, jeśli ma się potencjał. Jeśli chodzi o upadek ZSRR, to Rosjanie często twierdzą, że jeśli brać pod uwagę tylko potencjał armii, to nie był on tak bardzo osłabiony rywalizacją z Zachodem. Gdyby nie błędy polityki Gorbaczowa, to ZSRR by nie upadł. Istnieje tam więc holistyczna relacja między siłą a wolą użycia tej siły i sprawnością polityczną. Mówię o tym dlatego, że Rosjanie uważają, iż w ciągu ostatnich dwudziestu lat Rosja się wzmocniła, siła Stanów Zjednoczonych jest na podobnym poziomie jak wcześniej, natomiast wzrosły znaczenie, siła i możliwości polityczne Chin. Jednocześnie w sposób niekwestionowany spadła potęga Europy. Jeśli spojrzymy na potencjał gospodarczy, demograficzny, a tym bardziej wojskowy Europy w porównaniu do tego, jaki był trzydzieści lat temu, to nie da się zaprzeczyć, że jest ona bardzo osłabiona.

Przypominam, że pierwsze działania Rosji po rozpoczęciu przez USA inwazji w Iraku, to działania na rzecz uzyskania statusu junior partnera w bliskiej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. To

Putin otwierał kanały komunikacji i umożliwił utworzenie lotniska w Kirgistanie, a jednocześnie sprzeciwił się powstaniu stałej amerykańskiej bazy w Uzbekistanie. Do zaniechania tego pomysłu przyczyniła się także polityka ówczesnego prezydenta Karimowa, niezadowolonego ze stanowiska Waszyngtonu po stłumieniu protestów w Andizanie. Istotny w tym kontekście jest fakt, że Kreml dążył do uzyskania pozycji „głównego rozgrywającego”, współpracującego z Amerykanami, ale lokalnie monopolizującego relacje z hegemonom i będącego czymś w rodzaju jego reprezentanta. Był to więc kilkuletni flirt

Góralczyk: Jest to wojna Rosji z Zachodem, ale z bardzo ciekawym, czasami aktywnym, czasami biernym włączeniem się innych mocarstw, takich jak Chiny, Indie czy Japonia

rosyjsko-amerykański. Pewien przełom nastąpił wtedy, kiedy rosyjskie elity zauważyły, że Amerykanie nie dopuszczają możliwości wzrostu ich znaczenia. Uznali wówczas, że w zmieniającym się układzie sił, przy rosnącym znaczeniu Chin i państw, które utworzyły później formułę BRICS, należy podążać za trendami i stanąć po, jak mówią, dobrej stronie historii. Jest to dość czytelne w ich publicystyce – uważają, że obiektywnie rzecz biorąc, historia będzie prowadziła do osłabienia Stanów Zjednoczonych, a oni nie powinni stać po przegranej stronie. Pojawiła się

wtedy wizja polityki równowagi. Myślę, że od 2006 roku Rosja w zakresie tej polityki zaczęła odgrywać rolę państwa wpływającego na układ sił w ramach całego porządku światowego, choć niekoniecznie musi to być rewizjonizm. Moim zdaniem genezą agresji na Gruzję był szczyt bukareszteński oraz impas, do którego tam doszło. Rosja odczytała to jako wyraz słabości i rozchodzenia się dróg Europy i Stanów Zjednoczonych. Widzę tu także analogię do wydarzeń z 2014 roku. Agresja na Donbas rozpoczęła się kilka miesięcy po Majdanie, a w międzyczasie testowano reakcję Zachodu. Reakcja na aneksję Krymu była tak marna, że uznano ją za świadectwo ogólnej słabości.

Mamy więc do czynienia z działaniem o charakterze strategicznym. Można dyskutować, czy jest to świadomy imperializm, czy realizacja jakiegoś z góry zaplanowanego projektu. Oczywiście w przypadkach kryzysowych lubimy racjonalizować, nie wiemy jednak, czy taki plan pierwotnie istniał. Mimo wszystko uważam, że polityka rosyjska jest wynikiem postrzegania Zachodu jako słabnącego podmiotu polityki międzynarodowej, niezdolnego do podjęcia określonych działań.

Bogdan Góralczyk: Zgadzam się z nakreślonymi przez was tropami – mamy do czynienia z wojną wielowymiarową o skali globalnej. Oczywiście w zakresie kinetycznym dotyczy ona jedynie Rosji i Ukrainy, natomiast niewątpliwie narasta zimna wojna pomiędzy Rosją a Zachodem. Coraz częściej pojawiają się także głosy, że jest to proxy war, a Ukraińcy są jedynie pionkami. Nie jest tak z kilku podstawowych powodów. Po pierwsze, agresorem jest stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, czyli ktoś, kto znajduje się w samym sercu porządku światowego ukształtowa-

nego po drugiej wojnie światowej. Mamy więc do czynienia z zachwianiem tego porządku i kompletną kompromitacją ONZ, którą od dawna nazywam „Organizacją Narodów Zagubionych”. Przypominam, że jest to jedyna globalna organizacja mająca możliwość wysyłania swoich wojsk. Skoro jednak agresorem jest jej kluczowy członek, to nie ma nawet o czym rozmawiać. Po drugie, jest to wojna Rosji z Zachodem, ale z bardzo ciekawym, czasami aktywnym, czasami biernym włączeniem się innych mocarstw, takich jak Chiny,

Radziejewski: To, co dziś dzieje się w Ukrainie, jest skutkiem czy też elementem ciągu zdarzeń, który można opisać jako dekompozycję ładu światowego

Indie czy Japonia. Po trzecie, mamy do czynienia z bezprecedensową sytuacją. Po drugiej wojnie światowej istniał ład dwubiegunowy, ale kiedy jeden z biegunów uległ implozji, to w naturalny sposób, bez żadnego kongresu wiedeńskiego czy konferencji wersalskiej, wyłoniła się „jednobiegunowa chwila” z amerykańską dominacją, która w sensie prawnotraktatowym nigdy nie została zaakceptowana przez scenę światową i światowy porządek. Można było ją zakwestionować pod tym względem, jednak nikt tego nie robił, ponieważ Stany Zjednoczone były mocarstwem omnipotentnym, co było praktycznie bezprecedensowe w dziejach świata. Wszyscy więc przyjęli przez aklamację tę „jednobiegunową chwilę” włącznie z Federacją

Rosyjską Borysa Jelcyna. Jedynie Chiny sprzeciwiły się podwójnemu pakietowi, który wszystkim podyktowali Amerykanie. Mam tu na myśli ideologiczne programy o nazwie liberalna demokracja, w ramach Unii Europejskiej występująca jako kryteria kopenhaskie, plus liberalizm gospodarczy, czyli konsensus waszyngtoński, którego ucieleśnieniem w Polsce był „plan Balcerowicza”. Rosja je przyjęła i w efekcie się wywróciła, co z kolei spowodowało, że musiał przyjść pułkownik KGB i zrobić porządek. On jednak już nie stawał na Zachód, a na nowo wyłaniające się mocarstwo, jakim stały się Chiny.

Nastąpiła tu ciekawa zamiana ról. W historii to carska Rosja i ZSRR były wielkim bratem dla Chin, a teraz to Chiny są starszym bratem. Tandem ten zaczął współpracować, kwestionując „jednobiegunową chwilę” bezwzględnej amerykańskiej dominacji, czego dowód dał na piśmie we wspólnym oświadczeniu z 4 lutego 2022 roku. To tam rozrysowany został nowy ład światowy oparty na prostej dychotomii, czyli liberalny Zachód kontra nieliberalny Wschód, który w ich mniemaniu jest bardziej skuteczny. Zarówno Putin, jak Xi Jinping chcą wykorzystać to, że Zachód jest – w ich ocenie – w rozpłyce. Dlatego też wzmocniła się Szanghajaska Organizacja Współpracy, do której

przyjęto Iran. Jest ona więc obecna na Bliskim Wschodzie, z którego jednocześnie wypierani są Amerykanie. COVID-19 był dla Chin kolejnym dowodem słabości USA, ponieważ oni mieli niewiele ofiar, a Amerykanie ponad milion, choć ostatnio ta sytuacja zaczęła się zmieniać.

Marek Budzisz ma absolutną rację, że nastąpił tu ciąg zmian strukturalnych, które doprowadziły do wojny w Ukrainie. Należy dodać tu także Donalda Trumpa i nową strategię bezpieczeństwa USA. Zgodnie z nią dotychczasowa polityka zaangażowania prowadzona wobec Chin została zmieniona przez politykę strategicznej rywalizacji. Kierowanie się w polityce zagranicznej wartościami, takimi jak prawa człowieka, zostało zamienione na kierowanie się interesami. Amerykanie zrozumieli, że Chiny wyrosły, przy wsparciu Rosji, na rywala, z jakim nie mieli jeszcze do czynienia. Potwierdzeniem tego są słowa Antony’ego Blinkena, który 26 maja 2022 roku w swoim programowym wystąpieniu na Uniwersytecie George’a Waszyngtona powiedział, że jest to największe wyzwanie technologiczne, dyplomatyczne, strategiczne i militarne, jakie kiedykolwiek stało przed Ameryką. Kiedy Amerykanie mówią „Ukraina”, myślą o Morzu Południowochińskim czy Tajwanie, ponieważ są to naczynia połączone.

Reklama

Pod uwagę działaczom religijnym, politycznym i społecznym:

Chrześcijańska myśl ekonomiczna

Chrześcijańska myśl ekonomiczna stanowi kierunek badania znaczenia Przykazań Dekalogu: „Nie kradnij!” i „Nie pożądaj własności bliźniego!” dla ekonomii i gospodarki, oraz na wyciąganiu wniosków z wyników tych badań w celu ich wykorzystania w nauce ekonomii i polityce gospodarczej. Inspiracją tej myśli jest stwierdzenie, że ponieważ aż dwa te Przykazania mają za cel ochronę własności człowieka, czyli ochronę własności prywatnej, to znaczy, że Stwórca nadał nienaruszalności instytucji własności prywatnej wysoką rangę. Stanowi ona dobro nierozzerwalne z człowieczeństwem. Pod pojęciem „własność prywatna” rozumie się, oczywiście, dobro uczciwie nabyte przez człowieka, a nie dobro przez niego posiadane, lecz nabyte drogą jakiegokolwiek rodzaju kradzieży.

Wyniki badań powyższego wpływu okazują się rewelacyjne. Okazuje się, że łamanie przez ludzi i ich rządy Przykazania „Nie kradnij!”, poprzedzane na ogół łamaniem Przykazania „Nie pożądaj własności bliźniego!”, czyli, inaczej mówiąc – kradzież jest główną przyczyną, lub samą istotą, prawie wszystkich poważnych krajowych i międzynarodowych problemów i kryzysów gospodarczych wiodących do biedy i różnych niepożądanych efektów społecznych. Im powszechniejsze zjawisko kradzieży we wszelkich jej formach, a szczególnie w formach grabieży zalegalizowanej przez państwo i popełnianej na różne sposoby, często „w majestacie prawa”, na obywatelach, tym poważniejsze hamowanie rozwoju gospodarczego i dobrobytu. Do tych sposobów zaliczyć należy, między innymi:

- 1) zaciąganie pożyczek państwowych bez wiedzy i zgody obywateli, którzy wraz ze swym potomstwem pożyczki te będą musieli spłacać;
- 2) drukowanie papierowych pieniędzy bez ich pokrycia w przyroście bogactwa narodowego, co powoduje inflację i obniżanie wartości pieniędzy już posiadanych przez obywateli;
- 3) przyznawanie przez władze różnych licencji, monopoli i innych przywilejów wybranym ludziom lub grupom ludzi, kosztem wszystkich pozostałych;
- 4) tworzenie w instytucjach państwowych tak zwanych stanowisk pracy, pracy bezproduktywnej i pasożytniczej, będącej przykrywką do dzielenia się pieniędzmi z kieszeni podatnika;
- 5) sprzecznie z zasadą równości wszystkich obywateli wobec prawa, zalecane przez Marksa opodatkowanie wybiórcze (progresywne) ludzi zamożniejszych, a tym samym karanie ich za to, że w gospodarce rynkowej stali się nimi dzięki swej pra-

Reklama

- cowitości, zaradności, uczciwości, wyrzeczeniom, oszczędzaniu i zaspokajaniu potrzeb innych ludzi owocami swej działalności;
- 6) opodatkowanie na cele nie służące dobru całego społeczeństwa, lecz tylko niektórych jego grup;
 - 7) łamanie prawa podaży i popytu, przez narzucanie cen minimalnych lub maksymalnych za jakieś dobra – a więc okradając właściciela danego dobra z prawa do swobodnego dysponowania swą własnością;
 - 8) szerzenie i praktykowanie korupcji poprzez tworzenie korupcjogennych urzędów dla „swych” ludzi i ochrona ich działań drogo kosztujących całe społeczeństwo;
 - 9) praktykowanie socjalizmu poprzez bezpośrednią konfiskatę własności prywatnej na rzecz państwa i jego różnych instytucji;
- itd., itd.

W świetle powyższego jasne jest, dlaczego państwa socjalistyczne i „opiekuńcze” oparte na „uszczuplaniu” i konfiskacie własności prywatnej prowadzą kraje do bankructwa, a rodziny i społeczeństwa do rozkładu.

Przyjęcie powyższego do wiadomości powinno być szczególnie łatwo akceptowane przez nas, chrześcijan, dla których Dekalog, będący zbiorem nakazów i zakazów pochodzących od Stwórcy, jest jednym z filarów wiary. Szczególnie czujni winniśmy być na znaczenie nieraz spotykanych haseł o potrzebie realizacji zasad sprawiedliwości społecznej (co, między innymi, jest wyrażone w Artykule 2 obecnie obowiązującej Konstytucji RP), bo często bywają one pośrednim wzywaniem do łamania Przykazania 10 („Nie pożądaj żadnej rzeczy należącej do bliźniego”) i do przymusowego wyrównywania międzyludzkich nierówności majątkowych i społecznych, drogą zalegalizowanej grabieży i kradzieży gwałcącej Przykazanie „Nie kradnij!” i chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a są inspirowane przez różnych popleczników marksizmu, którego, jak wiadomo, jednym z podstawowych dogmatów jest konieczność likwidacji własności prywatnej. Nieopatrna akceptacja takich haseł przez katolików, mimo, że nigdzie w Piśmie Świętym nie ma potępienia, a nawet tylko dezaprobaty nierówności międzyludzkich, stanowi sukces infiltracji wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowskiej do Kościoła. Chrześcijańska myśl ekonomiczna służyć może za narzędzie intelektualne w zwalczaniu tej infiltracji. Niezależnie od tego zachęca ona patriotów pragnących jak najlepiej dla swego kraju, aby nie pozwalali rządzącym na ustanawianie i egzekwowanie praw okradania obywateli przez państwo, a doprowadzali do likwidacji takich praw już istniejących.

JAN MICHAŁ MAŁEK
Założyciel Fundacji PAFERE

Misja

Świat intelektualny – od uniwersytetów po media – nie nadąża dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej, opisując je za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które wymaga rozstrzygnięcia dylematów przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

„Nowa Konfederacja” stara się temu kryzysowi myśli przeciwdziałać na cztery zasadnicze sposoby:

- 1) Poprzez formułę thinkzine’u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergię między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, a po drugie (i ważniejsze) budować całościowy obraz rzeczywistości;
- 2) Poprzez kształtowanie opinii elit;
- 3) Poprzez oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego;
- 4) Pełnić rolę pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Działamy w duchu polskiej tradycji republikańskiej, uważając ją z jednej strony za najbardziej chwalebny dorobek rodzimej polityki, z drugiej za inspirację do rozwiązywania współczesnych problemów, na czele z fałszywymi dylematami: państwo czy wolność, wolność czy wspólnota. Dziś potrzebujemy jednocześnie więcej państwa, więcej wolności i więcej wspólnoty. Wyzwania tak dla politycznej podmiotowości, jak i wolności są bowiem bezprecedensowe – taka musi też być odpowiedź.

Jesteśmy konfederacją – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów, zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe.

Jeśli cenisz „Nową Konfederację” – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Damian Szczerbaty, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski, Karol Tataro oraz Anonimowi Darczyńcy (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Kołodyńska-Magdziarz (Sekretarz zespołu), Jarema Piekutowski, Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Stefan Sękowski (Zastępca dyrektora, kierownik sekcji Publicystyki), Anna Szczerbata, Paulina Raczyńska, Marcin Chruściel

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radziński, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Radosław Piekarz, Tomasz Pułról, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski, Stefan Sękowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl